

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	- - - - -	6.
Półrocznie	- - - - -	3.
Kwartalnie	- - - - -	1.50
Miesięcznie	- - - - -	50
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu		
Rocznie	- - - - -	7.—
Półrocznie	- - - - -	3.50
Kwartalnie	- - - - -	1.75
Miesięcznie	- - - - -	60

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	- - -	50 k
W tekście (nadesłane)	- - - - -	1 rb
Po tekście	- - - - -	20 k

Numer pojedynczy 15 kop.

Od Redakcji.

Rok upływa, jak przystąpiliśmy do wydawania „Przeglądu Wileńskiego“.

W piśmie naszym chcieliśmy mieć przeciwwagę tendencjom oportunistycznym politycznemu i społecznemu, szerzonym przez prasę polską wileńską. Wychodziliśmy z założenia, że niezbędną jest trybuna niezależna, z którejby się mógł rozlegać śmiało głos krytyczny, nie krępowany tradycyjnymi formułkami.

Temu zadaniu podołaliśmy—bez przesady rzecz możemy — w zupełności. Wszystkie objawy życia publicznego znajdowały w „Przeglądzie Wileńskim“ oświetlenie wyraźne, nie spaczone względami partycjalnymi. Nie zacieśniałiśmy ram dyskusji, pragnąc dotrzeć do jądra zagadnień, obnażyć zjawiska życiowe z powijaków, w które obwinęły je szablony lub obłuda.

Nie mieliśmy jednak zamiaru uczynić z naszego pisma jedynie laboratorium analitycznego. Wydobywając na światło dzienne ukryte w głębi pierwiastki, usiłowaliśmy dojść do syntezy, opartej na budowie racjonalnej pokrewnych sobie elementów.

Tej roboty nie zdołaliśmy wykonać. Ścisłego programu polityczno-społecznego nie wytworzyliśmy dotąd. Niemniej pewne wyniki zostały osiągnięte. Wytknęliśmy linię, z której pismo nie zбочyło i po której posuwało się naprzód, wyjaśniając swoje stanowisko. W ciągu roku kierunek „Przeglądu Wileńskiego“ nabrali cech bardziej wyrazistych, skrzystalizował się i zdobył sobie zwolenników. Praca więc nasza — trudna i mozolna — nie poszła na marne.

Dokoła pisma skupiła się grupa osób, wyznających zasady demokratyczne i postępowe a dbających gorąco o rozwój kultury polskiej w tym kraju. Jedną z głównych zdobyczy naszych jest podważenie

utartego przesądu, jakoby polskość i wolnomyślicielstwo pozostawały z sobą w sprzeczności, że niema tu podstaw dla krzewienia polskiej myśli postępowej.

Dają się słyszeć wprawdzie w polskiej prasie zachowawczej oskarżenia nas o tendencje kosmopolityczne, jak znów ze strony litewskiej, białoruskiej lub żydowskiej odzywają się głosy, posądzające nas o nacjonalizm. Ale jest to niewątpliwie skutek zadawnionych, trudnych do wykorzenia uprzedzeń lub wyraźnej złej woli.

W toku naszej pracy spotykaliśmy się niejednokrotnie z zarzutem, że jest ona nieprodukcyjna, akademicka, oderwana od życia, że pismo demokratyczne powinno mieć przedewszystkiem na względzie masę, nie zaś szczupły zastęp inteligencji. Tkwi tu widoczne nieporozumienie.

Niewątpliwie, grupa demokratyczna opierać się może tylko na masach i na nich fundować swą siłę i rozwój. Wybory wileńskie wykazały tę prawdę, że o ile chodzi o akcję czynną, o przeciwstawienie się działającym partjom i kierunkom, grupa demokratyczna jest zbyt słaba i dążyć powinna do osiągnięcia wpływu na szerokie warstwy ludności.

Z drugiej strony jednak, by urabiać te masy według pewnego wzoru, należy wpiery uświadomić sobie wyraźnie cel i metody takiej roboty, należy zorganizować zwartą grupę inteligencji, objętą wspólnym programem i wspólnymi dążeniami. To właśnie zadanie spełniał „Przegląd Wileński“ i chociaż nie wykonał go całkowicie, uczynił jednak sporo, ustalając pewne zasady wytyczne, przygotowując grunt dla skonsolidowania się idących luzem jednostek.

Rok istnienia postępowego pisma polskiego w naszych warunkach to wiele, jak na stosunki istniejące, stanowczo jednak za mało, by mógł się wytworzyć silny prąd polityczno-społeczny, mogący sku-

tecnie walczyć z ideologią i wpływami zasobnych grup zachowawczo - klerykałnych. Wierzmy niezachwianie, że stała, wytrwała robota, w obranym przez nas kierunku — nie omieszka przynieść w końcu pożądaných rezultatów, że będzie wywierała wpływ co raz bardziej skuteczny i szeroki i z czasem pozwoli nam przejść z roli biernej—krytycznej do roli czynnych działaczy, rzucających swe ważne słowo na szalę wypadków krajowych.

Z wiarą w owocność i pożytek naszej pracy, rozpoczynamy drugi rok wydawania „Przeglądu Wileńskiego”. Nie będziemy ukrywali, że nasze nadzieje co do istnienia dalszego pisma o własnych siłach — zawiodły. Za mało nas tu jest, aby przedpłata mogła pokryć znaczne koszty wydawnictwa, zważywszy na niską jego cenę i renumeracyjną. O znacznych subsydjach marzyć nie możemy, gdyż z natury rzeczy sympatycy nasi nie rekrutują się ze sfer obszarników i kapitalistów.

Względy powyższe zmuszają nas do podwyższenia prenumeraty

o 1 rubla rocznie.

Od Nowego Roku więc prenumerata (z przesyłką lub dostarczaniem do domu) będzie wynosiła:

rocznie . . .	8 rb.
półrocznie . . .	4 rb.
kwartalnie . . .	2 rb.

Podwyżka powyższa, nieznaczna dla pojedynczego czytelnika, da możliwość wydawnictwu zapelnienia dotkliwej luki w jego budżecie.

Pod względem kierunku i treści pismo pozostanie bez zmiany, zachowując niezmiennie tendencję do udoskonalania się i stawania się pełniejszym i bardziej urozmaiconem, czego dowód złożyło w roku ubiegłym.

Czytelnicy nasi mogli się przekonać, że zapowiedzi nasze, uczynione w prospekcie nie były pu-

stym dźwiękiem szumnej reklamy. Szereg nazwisk pierwszorzędných publicystów i literatów, którzy swem piórem zasilali łamy „Przeglądu“ świadczy wymownie o usiłowaniu redakcji uczynienia wymogom poważnego pisma. Na jednym punkcie nie dotrzyaliśmy przyrzeczenia. Dział korespondencji z kraju nie rozwinął się należycie. Wina to już naszych stosunków, gdzie taki brak się odczuwa sił inteligentnych, władających piórem.

Pod koniec roku również zmuszeni byliśmy do zaprzestania regularnego wydawania pisma co tydzień. Wpłynęły na to trudności wydawnicze, związane między innymi z zawieszeniem przez władzę redaktora odpowiedzialnego, skutkiem konfiskaty № 17 „Przeglądu Wileńskiego“ za artykuł p. t. „Świt“.

Na tem miejscu wypada nam przeprosić czytelników za niedokładność mimowolną, którą usiłujemy wynagrodzić obfitością materiału.

Sądzymy, że nasi czytelnicy zechcą uwzględnić te przeszkody, z którymi musi się borykać nasze pismo i nie odmówią nam swego poparcia i sympatji na przyszłość, mimo wszelkie okoliczności ujemne.

Ze swej strony dołożymy starań, aby placówka demokratycznej i postępowej myśli polskiej w Wilnie wzmocniła się i utrwaliła swój byt.

Nad Wartą.

(Korespondencja własna „Przeglądu Wileńskiego“)

Poznań, d. 28 listopada.

Niemcy są doskonałymi profesorami ładu, organizacji, zaradności ekonomicznej i — jak dla nas — patryjotyzmu. Gdyby nie hakata, gdyby nie prawa wyjątkowe, stosunek do Polaków, gdyby nie coraz nowe barbarzyńskie zamachy na ich

JAN AUGUSTYNOWICZ.

3

Zastygła fala.

— Zośka, Zośka! Pamiętasz nasz ślub w więzieniu? Pamiętasz, panno wykwiłtna i nadobna, jak klecha dłonie wiązał, a patrzyli na to „oni“? Świadkowie! Świadków my, Zocha, mieli! Pamiętasz te oczy djabelskie i uśmiech podły i plugawy? Śmieli się! A my się teraz lepiej od nich śmiejemy.

Odgarnął nieco jej włosy pod kapeluszem.

— Uśmieliśmy się, gdym im z pod szubienicy uciekł i gdy tyś uciekła, Zośka! Cha, cha! Przecie nikt z szpicłów uciekać ci nie kazał, a uciekłaś, Zośka! Wolna byłaś, panno piękna, wytworna, żaden szpiegus niczego o tobie wszak nie wiedział, a uciekłaś, Zośka! Mogłaś bawić się i błyszczeć, i używać świata, — a uciekłaś, Zośka! Szubienicznika na męża sobie wzięłaś, w więzieniu ślub brałaś, — ty panno młoda i urodna. Poszłaś za mną, jako ja dawno już za tobą — w duszy.

Słyszał bicie jej serca i z najtkliwszym uczuciem mówił do niej jeszcze:

— Zocha, Zocha... Miodowy nasz to miesiąc Miodowy! Z „ich“ najmiłościwszego zezwolenia, przy „ich“ najuprzejmiejszej pomocy! Dzięki „nim“ my mężem, żoną teraz!.. Zocha! Cha, cha! Ty żonuś, żonuś, ty, ty! Żonuś ty, żoneczka! Żonuśka moja ty...

Wodził palcem po brwiach jej, gładził leciutko po ustach i policzkach.

— Na śmierć żenił mnie dobrodzieje moi, a ożenił — na swobodę. Miałem się żenić, by ci nazwisko swe na pamiątkę oddać, by wobec świata stwierdzić swą do ciebie przynależność, — a ożeniłem się, by cię mieć — żyć z tobą, być z tobą, trwać z tobą! Jak dziwnie los się zmienił! Cha, cha, gdyby wiedzieli, gdyby wiedzieli! Zgrzytają zęby rozwścieczone, pienią się gęby... Na pohybel, na pohybel! Ach, rozkosz — wyprostował się. Ujrzał ślepie, krwią gniewu nabiegłe, bezsilne, głupie kułaki. — Na pohybel, na pohybel! — odepchnął tę marę od siebie.

— Poszłaś za mną, ty, cudna... — zaszemrał. — Cisnęłaś matkę, ojca, braci, siostry, swe położenie „legalne“ — i poszłaś. Zocha, ty serdeczna! Więc

prerogatywy obywatelskie — kto wie, czy Poznaniańskie możnaby jeszcze do ziem polskich zaliczać.

Jest to zdanie, spotykane tu dość często.

I rzeczywiście. Dość rzucić okiem gościa na tę dzielnicę, by dostrzec ogrom różnic, dzielących ją od reszty krajów dawnej Rzeczypospolitej. Uderza to przede wszystkim, gdy spojrzysz się na podstawę bytu narodowego: na lud tutejszy.

Lud ten odbiegł daleko Galicji i Królestwa. Wydaje się on produktem zgoła innej formacji kultury. Można być pewnym, że gdyby rolnika poznańskiego przenieść za kordon, już tamtejszym życiem żyć by on nie umiał. Nie potrafiłby mieszkać w dusznej, niskiej chacie pod słomianą strzechą, jeździć „polskimi“ drogami, używać mizernych szkapinek, wychudzonych krów gnojem obrosłych; ani tak siać, ani tak orać, ani tak jeść, ani tak się bawić, jak otoczenie, nie byłby w stanie.

Dawny kmieć prastarej piastowskiej dzielnicy czułby się dziś prędzej w swoim żywiole wśród szwajcarskich farmerów, których mi z wielu względów przypomina. Chłop poznański, jakkolwiek zachował, dzięki swemu konserwatyzmowi, tu i owdzie ślady odrębności kastowej, właściwie przestał już być chłopem; pozostał rolnikiem, rolnikiem zawodowym, któremu do uprawiania ziemi nie wystarczy „pochodzenie włościańskie“. W pracy swej kieruje się metodami i narzędziami nowoczesnymi przy dokładnej ich znajomości, jako fachowiec.

Gdy się widzi te pola starannie uprawione, skanalizowane, oczyszczone, a na nich pracujące tu i owdzie lokomobile, biegnące po prowizorycznych szynach wagoniki; gdy się ogląda te czwórki rosnących koni, ciągnących udoskonalone pługi, te wozy olbrzymie, te rowery, uwijające się po świetnych wiejskich drogach, tych wreszcie pracujących w polu zamasztych gentlemanów w filcowych kapeluszach i niebieskich bluzach, — chwylami wierzyć się nie chce, że się jest jeszcze w Polsce. A gdy w dodatku ujrzyś takiego gentlemana, zajeżdżającego w niedzielę pięknym wozem przed kościół w miasteczku, zdumienie

ogarnia na widok jego baby, która jedna — wierna tradycji — zachowała strój ludowy. Uderza to szczególnie u t. zw. „bambrów“, najbliższych sąsiadów samego Poznania. Sprowadzeni ongi z Niemiec, nie tylko się spolszczyli, ale są najgorliwszymi, najwierniejszymi obrońcami polskości. Z dawnych tradycji zachowali tylko jedno: strój niewieści nadzwyczaj oryginalny, dla nieprzywykłego oka zabawny — tembardziej, że nie przypomina on niczem polskich kostjumów ludowych.

Bambrowie ci są tu najkulturalniejszym i najbogatszym włościaństwem. Majątki ich dorównują częstokroć majątcom pańskim; spory zaś procent mężczyzn kończy średnie, a nawet wyższe zakłady naukowe. To nie przeszkadza, że osobiście pracują oni na roli, zachowując w tym względzie zwyczaje włościańskie.

Wszakże ostatnimi czasy — jak mówił mi ktoś, dobrze ze stosunkami obeznany — polskość bambrów wystawiona jest na poważną próbę. Bo oto niemieccy ohszarnicy, osiedlający się w Poznańskim, jako znacznie demokratyczniejsi od ziemian polskich, z włościanami owymi wchodzą w bliski kontakt. Dla obywatela-niemca kulturalny, zamożny chłop jest poprostu sąsiadem, z którym utrzymuje on chętnie stosunki towarzyskie. Natomiast ziemianin polak wciąż dotąd pamięta, że od włościanina dzieli go różnica stanu i od zbytnej konfidencji się usuwa.

W tym punkcie właśnie rozpoczynają się słabe strony kultury poznańskiej.

O ile masa ludowa dźwignęła się i poszła naprzód, o tyle warstwa „górne“ intelektualnie stanęły i stoją na miejscu. Postęp uczyniły one wyłącznie w dziedzinie gospodarki. Ale co wystarcza chłopstwu, by je zeuropeizować, niedostateczne jest dla warstwy, w której zwykliśmy szukać sił umysłowych narodu. Zwłaszcza w ściśle dotąd jeszcze rolniczem Księstwie, kraju zgoła nieuprzedmiotowionym, przy dalekich tradycjach niemieckości miast i niepolskości handlu, na szlachtę wciąż jeszcze oglądać się trzeba, jako na środowisko życia umysłowego. Lecz w trudnej walce o byt z najazdem niemieckim warstwa ta uległa

jakże? — zmarszczył się nagle mroczno i z wysiłkiem, jakby wspomniawszy myśl tamtą.

— Co?

— Z tem, Zośka?

Padły na niego oczy ciche, słodkie, kochające. Musnęły skrzydłem oddania się, wierności bezpamiętnej. Prosiły jakby o przebaczenie...

— Jam myślała... Sądziłam...

Coś, jak gorący wstyd, załkało tam we wnętrzu.

— Zośka!

Mówiła wolno:

— Tss... Jur., będziemy mówili ciszej. Ściany mają uszy. Strzeżmy się.

Spojrzał z pobłażaniem.

— Dzieciak! Wiem, że Dzidus kocha, więc z lękami oto... Dzi moja! Ale cóż znowu? Jesteśmy filistry, burżuje. Żyjem „dobrze“, promenujemy się. Chodzimy do teatru. Jeździmy po morzu. Robimy wycieczki w góry. Jemy dobre winogrona, gadamy głupio z sąsiadami, bywamy w eleganckich knajpach, kłaniamy się dumnym snobom. Znamy się z kilkoma generałami. Patrzymy na połów ryb. Mieszkamy w dobrym pensjonacie. Cóż więcej?

— Nie, nie...

— W klubie gram w karcie... Ty przyjaźnisz się z paniami z „monde'u“. Piękna jesteś, elegancka, jak wytworna markiza, po francusku mówisz, niczem paryżanka — gdzież ci do wyglądu „proletariuszki“? Kto z „nich“ domyśliłby się nawet, że ty — i „Elza“ z partji — to jedno? Kto zgadnie, że ja to „Konstanty“? Robię z siebie zdechłą małpę wedle możliwości wszelakiej, — o, patrz, jak jestem przewykwintny!

Uniósł nogę i wskazał jej lakierkę. Rozśmiał się.

— Nie, Dzi, to strachy, dzieciątko. Towarzysze —

— Czy ty aby, Jur, wszystkie ostrożności zachowujesz? — pytała go z lękiem, gdy wrócili kiedyś późnym już wieczorem do domu. Leżał beztroskliwie na kozetce i palił papierosa, przeglądając książkę.

— Dzi! — rozśmiał się. — Taki fryc stary!

Potrząsnęła głową:

— Jur, Jur... A jednak..

Umilkli. Patrzal znowu w książkę, ale myśl mimowoli odleciała dokądś w stronę.

— Alboco?

silnemu zmaterjalizowaniu. Jak na Litwie, tak i tu hasłem jej naczelnem stało się: trwać i wytrwać.

Hasło to, przy naturalnym konserwatyźmie szlacheckim, mimo wszystko, co czyni je zrozumiałem i usprawiedliwionem, z punktu widzenia potrzeb kultury narodowej mieści w sobie zarodek poważnego niebezpieczeństwa. Podnosi bowiem do ideału bezwład.

I kto wie, czy to nie jest groźniejsze od hakaty, praw wyjątkowych, wywłaszczania.

Życie nie czeka. Ludzkość idzie naprzód, goręcej marząc o lepszym jutrze, niż tęskniąc za przeszłością. Na front wysuwają się jednostki i ludy, co drogę przyszłości wskazują. Właściwości ich promieniają poza granice plemienne, wywierając wpływ swoisty na obcych.

Otóż dziś, wobec bezwładu polskiego życia intelektualnego w Poznańskim; wobec otoczenia aureolą ideowości samego tylko trwania, samej tylko materjalnej węgietacji; wobec zatykania uszu na hasła postępu ogólnoludzkiego, odgradzania się nawet od polskich koryfuszów myśli nowoczesnej, zaniku nauki i sztuki — Księstwo germanizuje się, wcale o tem nie wiedząc. Wprawdzie wciąż budzą je do samoobrony zamachy zachwałej hakaty, ale jeżeli nie nastąpi jakieś gwałtowne, mocne wstrząśnienie, jakiś nagły, gwałtowny przewrót, może się stać, że niespodzianie ujrzemy w poznańczykach ostateczną identyfikację kołtuństwa z polskością.

I nie będzie to wcale oznaczało absolutnego zastoju kultury kraju. Nie! Ewolucja społeczna mas postępować będzie; ale pod sztandarem polskim pozostaną jeno ci, co do niczego nowego nie dążą, co jeno trwać pragną.

Już dziś obserwujemy tu znamienne zjawisko. Oto, gdy następuje zwolna pewne ożywienie przemysłu, gdy po miastach ukazują się robotnicy fabryczni, wzrasta wśród ludności polskiej pocztytność prasy niemieckiej.

Przyczyna prosta. Sfery te pociągają hasła socjalistyczne, lub pokrewne im wolnomyślne, których szukają daremnie w pismach polskich. Te ostatnie umieją tylko wyklinać liberalizm,

wszelakie grzeszne nowatorstwa i nawoływać do bezwzględnej jedności, którą — mimo wszystko — samo życie rozwala.

— Czemu panowie, nie chcecie zrozumieć — pytam pewnego dziennika — że zróżnicowanie kierunków myśli polskiej jest koniecznością czasu.

— Nie, nam nie wolno się rozdrabniać — odpowiada, jak gramofon.

I opowiada mi dalej, że już powstanie Demokracji Narodowej uważa za wysoce szkodliwe. Radby widzieć jedno tylko stronnictwo zachowawcze, które wgarnęłoby w swe szeregi cały żywioł polski. Wreszcie rzuca podejrzenie, które zdumieniem mnie napelnia. Oto najpoważniej w świecie przypuszcza, że Demokrację Narodową zaszczepili na gruncie poznańskim... żydzi, by siły polskie rozczłonkować.

— Nas dławia — kończy publicysta poznański — giniemy bez ratunku. Jedno nam pozostaje: wytrwać możliwie jaknajdłużej.

Podobne zdanie słyszałem już kiedyś od zachowawcy z Królestwa, dziennikarza obozu ugodowego.

Pesymizm poniekąd rozumiały. Ci ludzie czują, że toną, a głęboko są przeświadczeni, iż oni — to naród. W głowie im się pomieścić nie może, że polskość żyć potrafi i bez „urodzonych“ swoich przodowników.

Intuicyjnie czyni ona dziś w Poznańskim nowy wysiłek, by się z pęt tradycji wyzwolić. Bodziec do tego dała pruska akcja eksproprijacyjna. Pod jej to wpływem rozlega się hasło: do miast! zawładnąć handlem!

Na razie jednak pęd ten odbywa się w kierunku najmniejszego oporu. Ogłoszono bojkot kupiectwa obcego. Bojkot ten wszelako powieść się może tylko w drobnej części. Hasło reklamowane jest i gorąco zachwalane przez kupców polskich, którzy widzą w niem namacalny, osobisty zysk. Gdy jednak minie pierwsza gorączka, ruch ten wejdzie niewątpliwie na tory właściwe: mianowicie zapoczątkuje on uprzemysłowienie kraju siłami i kapitałami polskimi.

Tego pragnąć należy gorąco, do tego przeć. Możliwość jest, bo tutejsze polskie mieszczaństwo

zniżył głos — wytrawni, jak na urząd. Zresztą, wiesz. Ostatnie za miastem zebranie odbyło się bajecznie. Obydwa mieszkania konspiracyjne — idealne. Tegie chłopcy — zakończył z przyjemnością.

— A jednak, jednak...

Podniósł się, przysiadł.

— Zocha, te nerwy! Zocha — kocie! Ot, powiedz lepiej, coś z Matoczkinem zrobiła?

Podeszła i mówiła głosem cichym. Słuchał uważnie, w pewnej chwili jej przerwał:

— I nie pojedzie do Noworosyjska?

— Mówił, że tak... lecz później. Coś niedobrego tu węszy.

Spojrzał z niedowierzaniem.

— Cóż ty?

— Tak, Jur, — strzeżmy się.

Uśmiechnął się z przymusem.

— Rozumiem teraz, Zośka! Wiem już, kto głowę ci zabzdurza. Dobry chłopak Matoczkin, ale — frajer.

— Nie on... — mówiła gorączkowo. — Cóż on, choć wysłuchać nigdy nie zawadzi? Dawno cię już nudzę: śledzą nas!

Machnął ręką.

— Głupstwo! — rzekł z gniewem i stanowczo.

— Nie głupstwo, Jur! Ta podła morda na przedmieściu i ten „kupiec“ — rodak na plaży... Och, znam, znam te oczy, uszy nędzne! Wszyscy jednacy! Jeden pomiot, jedna czerń plugawa... Znam!

— Dziecko...

— Nie, nie! Ty nie wiesz, jak wężą bez przestanku! Wytropili nas! Uciekajmy! — rzekła nagle i z błaganie.

Patrzył chmurno.

— I „kupca“, i tamtego ja widziałem. Widziałem innych jeszcze, a przeciw ci nie wspominał. Poco? „Strach ma“... — znasz? Sprawdza się to na... nas. Ty, towarzyska, sławna z sprytu swego, ty — „Elza“...?!

— Ja... — szepnęła. W tobie świat mój...

Ujął ją za rękę.

— Zocha! Widziałła... mary... Lęk, miłość wyolbrzymiają ci drobiazgi. Zocha! Ja życie wszak za ciebie... Ale to: strachy.

Patrzyła z smutkiem niewysłowionym. Zadrżał. Nieznany wyraz bólu wykrzywił jej oblicze.

dostatecznie już nasiąkło kulturą niemiecką—szanuje każdą pracę, umie oszczędzać, rachować i nie dbać o szlacheckie pozory.

Zwolna mieszczaństwo to, a zwłaszcza drobnomieszczaństwo, staje się siłą, na której podłożu będzie mogła powstać inteligencja miejska, inteligencja nowoczesna.

Wówczas dopiero nastąpi rzeczywiste odrodzenie tego kraju. Że czas na to przyjdzie — nie należy tracić nadziei. Chwilę tę jednak będzie musiała poprzedzić rewolucja idejowa, obalenie hegiemcji rozpanoszonego wstecznictwa, które, nie wierząc w przyszłość, dla ratowania narodu, ma jedną tylko receptę: nie ruszać się z miejsca.

I. S.

Wrażenia i myśli z podróży.

I.

Z Petersburga do Witebska.

Z Petersburga do samego Witebska nie usłyszałem ani jednego dźwięku mowy polskiej. Może to dlatego, że wagon 2-ej klasy był przez pół pusty, a wagon restauracyjny jeszcze pusty — jakkolwiekby nawet próba namacania choćby jednego polaka nie zdała się na nic. Blondyn, mówiący łamanym językiem rosyjskim, okazał się Niemcem nadbałtyckim, choć z typu twarzy bardzo przypominał naszą szlachtę białoruską, — a dobroduszny jegomość o czerwonej, jowialnej twarzy przedstawił się, jako urzędnik i nawet „istimny“.

Z tym ostatnim zawiązałem rozmowę. Był to urzędnik z ministerjum finansów. Za dawnych biurokratycznych czasów ministerjów finansów i komunikacji nie obarczano jeszcze misją kulturtregierską, w kolejowcach i funkcjonariuszach skarbu spotykaliśmy często ludzi, znajomość z którymi pozwalała nam czynić dodatnie wnioski o charakterze rosyjskim, nie wypaczonym rusyfikatorskimi obowiązkami. Dziś to widocznie należy do przeszłości, bo p. urzędnik skarbu z miejsca oświadczył, że czynny jest na rosyjskiej placówce, że jest tu stróżem rosyjskich interesów.

— Ciężko jest — skarżył się — bo kraj to wcale nie rosyjski...

Przyjąłem do wiadomości to poufne wyznanie ze strony właśnie tej, która każdy raz wszczy na alarm, kiedy to samo usłyszy od Polaków.

Uczynił mi i drugie wyznanie. Kiedy skarżył się, co już dziś jest szablonem, na wzrost chuligaństwa po wsiach, przytaczając przykłady zdziczenia, zapytałem:

— Przecież przy wyborach do Dumy wykazano ze strony włościan taką ufność swemu duchowieństwu. Czyżby to duchowieństwo nie chciało wpływać umoralniająco?

— Nie! duchowieństwo nasze nie ma żadnego wpływu na wsi zapewnił mi stanowczo.

Ten pan uważał, że pełni ciężką misję. Ale w czem realnie wyrażała się ona, prócz wrogiego usposobienia do Polaków i Żydów, dojść nie mogłem.

Spytałem jeszcze, jaki wogóle jest w tym kraju skład urzędników pod względem przekonań, czy „patryjoci“ stanowią istotnie przytłaczającą większość.

— Mówiąc prawdę — odpowiedział mi — najmniej połowa jest czerwonych. Ale naturalnie kryją się z tem.

Przypomniało mi się w tej chwili z „Wieczernieje Wremia“ dowcipne wyjaśnienie faktu, że w Dumie zamiast 146 oficjalnie zarejestrowanych prawicowców znalazło się ich niemal trzy razy mniej.

— Jeżeli przy takim sposobie wyborów, jaki praktykowano do 4-ej Dumy — oświadczył wcale nie pozytywnie usposobiony współpracownik tego organu — jeżeli nawet w tych warunkach znalazło się zaledwie parę dziesiątków reakcjonistów, to widocznie nie istnieje ich więcej w rzeczywistości, widocznie za żadną cenę nie da się stworzyć prawicowej Dumy.

Zastosowując to do oświadczenia urzędnika, a — o ile orjentuję się — nie odbiega ono od rzeczywistości, trzeba powiedzieć:

Jeżeli tak trudno nawet na tych kresach dobrać rusyfikatorów z przekonania, to widocznie dokonywa się dobór nienormalny, kłócący się z samą naturą ludzką.

Witebsk, jako miasto, uczynił na mnie wrażenie wcale dodatnie, może dlatego, że przygotowany byłem ujrzeć brudną, żydowską mieścinę. Śródmieście o ulicach szerokich i czystych, miejscami malownicze tarasy, parę wcale porządných hoteli.

Przyjechałem tu, by zebrać autentyczne dane o wyborach do Dumy. Przedewszystkiem miałem sobie wskazaną osobę adwokata Aleksandra Rożnowskiego. Szukać jego adresu było zbyt ciężkiem. Doróżkarz nie tylko wiedział gdzie mieszka, ale nawet na uczynione na chybił trafił zapytanie moje: „czy p. R. jest w Witebsku“ — poinformował: „jest, widziałem go dzisiaj“. Taki uproszczony sposób informowania się okazał się wystarczającym i w dalszej mojej podróży.

Dom p. Rożnowskiego to czysto polska oaza. Bardzo mi było przyjemnie odnieść to pierwsze wrażenie, niestety, nie powtórzyło się ono w Witebsku. W bezpośrednio obchodzącej mię sprawie p. Rożnowski skierował mię do swego o wiele starszego, już ćwierć wieku praktykującego tu kolegi, p. Teodorowicza.

W p. Teodorowiczu znalazłem bardzo czynnego i wyczerpującego informatora. Sam on przez cały czas wyborów brał czynny udział w kampanji wyborczej, i nawet był kandydatem opozycji, na którego padła największa ilość głosów: 49 na 104. Ponieważ cała opozycja rozporządzała tylko 24 głosami, więc jest to dowód wcale nie powszedniej popularności i zaufania, jakie zyskał nawet u swych przeciwników ten zawsze śmiały i nie skłonny do kompromisów wyznawca wybitnie postępowych haseł.

Ale... niech mi wybaczy uprzejmy mój informator — to już były tylko resztki Polaka i to już nie był dom polski. P. Teodorowicz nie należy do tych, na których jakkolwiek wpływ wywrzeć mogą urzędowi rusyfikatorzy. Owszem — gdyby oni mogli go dosięgnąć — to zapewne odwróciliby go zupełnie od kultury rosyjskiej. Takie jest prawo etyczne. Ale p. Teodorowicz zżył się i zespolił z postępem rosyjskim i właśnie dodatnie jego strony nałożyły obcy pokost na jego umysłowość, co zresztą sam uznaje chyba.

Kiedy zestawiam dwie te jednostki dwóch pokoleń, idejowo tak bliskie sobie, jak p. Rożnowski i Teodorowicz, znajduję tu jaskrawy i niezbitny dowód, jak fałszywym z gruntu jest twierdzenie

nie, jakoby stworzenie ogniska ruchu postępowego polskiego na Litwie było szkodliwym przez to, że mąci solidarność, że gasi ducha narodowego.

Niewątpliwie pewna część zwolenników postępu w najgorszych nawet warunkach zdoła oprzeć się wpływowi obcym. Ale dla drugiej części niezbędny jest dla oparcia się swojski miejscowy ośrodek pracy i myśli postępowej. Inaczej — powoli, niepostrzeżenie ulegną najbliższym wpływom obcym. I nieprawdą jest, że ulegną najslabsi, najmniej wari. Ulegną ci, którzy za żadną cenę ogólnoludzką religiję wydrzeć ze swego ducha nie są w stanie, a za wszelką cenę potrzebują dla niej pokarmu i dla siebie obcowania duchowego.

Więc źródło, ognisko myśli postępowej na Litwie jest niezbędne. Z ziemi wyzbywamy się ostrem tempem, a demokratyzująca się inteligencja nasza w drobnej tylko części pod sztandar konserwatywny stanie.

Jeżeli dbać i wierzyć w przyszłość żywiołu polskiego na Litwie — to trzeba stworzyć punkt oparcia nie dla tego przedewszystkiem, co się kurczy i starzeje, ale dla tego, co się rzerzy i rośnie. Postęp polski istnieć może i powinien, naturalnie nie roztopiony w idejach oderwanych, a dostosowany do istniejących, nienormalnych warunków naszego bytu narodowego. Z wolą a choćby wbrew woli sama logika życia dostosuje go do tego.

P. Teodorowicz udzielił mi mnóstwo cennych informacji, dotyczących ubiegłej kampanji wyborczej. Wiadomościami temi podzielę się w liście następnym. Obecny piszę w pośpiechu, niemal na kolanie.

Józef Kuczyński,

Syndykalizm francuski.

(Ciąg dalszy).

Nad wyraz szybko rzeczywistość przekonała syndykalistów, że próba rewolucji nie jest łatwą i może narazić na niebezpieczny odpór ze strony kapitalizmu. Następnego roku wybuchły zaburzenia gwałtowne w Montceau i w fabrykach Creusot. Ostro zastosowany strejk wywołał wmiśnięcie się policji i wojska, które krwawo przywracały zakłócony spokój. Zginęło wtedy kilkunastu robotników, dziesiątki było rannych. Co najgorsze, że najzupełniej bezużytecznie, bo wywołując wręcz przeciwny skutek: oburzenie społeczeństwa i rozłam wśród syndykatów. Zakłady Creusot wykonują specjalnie obstalunki dla ministerjum wojny i marynarki. Niszczenie więc właśnie takich narzędzi, powstrzymywanie pilnych robót, związanych z bezpieczeństwem państwa, — ogół przyjął jako rodzaj zdrady kraju. Francja chciała odpocząć po niezliczonej ilości przewrotów. A nastrój wrogi przeciwko strejkowi był tak powszechny, że udzielił się znacznemu odłamowi proletariatu. Założono pierwsze syndykaty „żółte“, które, zresztą, do dnia dzisiejszego całkowicie wyparły z fabryk Creusot'a wszystkie elementy rewolucyjne.

„Żółci“, pomimo wcale pokaźnej liczby zwolenników, nie odznaczają się energją. Ich oficjalny program zdefiniował się ostatecznie dopiero

w 1904 roku. Dwa paragrafy statutu wyróżniają ich szczególnie: „ustanawiać i zachowywać z członkami personelu fabrycznego bez wyjątku stosunki życzliwego koleżeństwa“. Syndykaty ich łączą się w tak nazywane Giełdy wolne. W 1906 roku kongres paryski wykazał liczebność „żółtych“ około 450,000 t. j. nawet więcej, niż przeciwników czerwonych. Są oni jednak skazani chociażby przez program na bierność, nie mają znaczenia i popularności. Nie będziemy się też nimi nadal zajmowali.

Rząd przekonał się, że ani municypalność, ani policja nie mają żadnego wpływu na ruch tej masy (syndykalizm), więc użyto socjalistów: wówczas to Millerand wszedł do ministerjum... Zaczęło się zadawalnianie miłości własnej szefów syndyków i łagodzenie robotników pół-środkami i obietnicami (Sorel). Dużego hałasu narobił w świecie ten wypadek; jednak pierwszemu towarzyszowi u władzy sądzonemu było zostać najsilniejszym argumentem syndykalizmu o deprawacji idei robotniczych na usługach kapitalizmu. Socjaliści, wchodząc w skład rządu, wyszli z szeregów masy robotniczej. Tego im nigdy nie zapomniano.

I oto kiedy Federacja Syndykatów, kierowana jeszcze przez „czerwonych jezuitów“ (Sorel), lawiruje pomiędzy rewolucyjnością masy a zdobyczami władzy, giełdy nie chcą nic słyszeć o kompromisach, kontroli, ustępstwach i są coraz fanatyczniej wpatrzony w swój ukochany cel: strejk powszechny. Na widownię ich życia występuje wybitny organizator i mówca (i również przyszły „zdrajca“) A. Briand, który jest duszą teorii strejku. Przypomniano sobie słowa Mirabeau o tym ludzie, który „ażeby być potężnym, potrzebuje tylko skrzyżować ręce“. Przypomniano sobie barwne i tętniące życiem opowiadanie W. Hugo w Histoire d'un Prince, jak to chciano wytworzyć „próżnię“ bezrobocia wobec zamachu stanu Napoleona III. Komentowano uchwały międzynarodówki z 67 lat, kiedy strejk został nazwany „produktem organizacji robotniczej“, posunięto się nawet dalej: stworzono ad hoc system społeczny. Bo bezrobocie nie tylko uderza jako zwycięczą broń, ale i zatrzymując wszelkie życie obecnego ustroju, wykazuje jego kruchość, uwykupia wartość pracy ludzkiej, jest pieczęcią położoną na akt woli pracowników. Syndykalizm, według Pouget'a, jest wyłącznie „organizmem walki... jest rzeczą zdolną doprowadzić do pomyselnego końca wywłaszczenia kapitalizmu i przewrót społeczny“. A jeśli jeszcze do tego dodać, że syndykalizm był już „u siebie“ w giełdach pracy, że te giełdy otoczyły specjalną troskliwością zadanie udatnego strejku, że strejk zrobił się naukowym systemem, filozofją, wiarą, polityką, to można domysleć się, jak takie hasła wpłynęły na zbliżający się kongres w St.-Etienne.

Był to rok 92. Naturalnie, 15 giełd pracy łączy się we wspólną organizację (Fédération des Bourses du Travail de France). Briand, jako apostoł strejku, pobija na głowę przeciwników. Rewolucja przeciwko państwu jest nieprzejednaną; „...pracownicy powinni odeprzeć w formie absolutnej mieszanie się władz administracyjnych i rządowych do działalności giełd, mieszanie się...“, które ma na celu wyłącznie uszkodzenie ich rozwoju. Za jednym zamachem uderzają w ten sposób rząd i socjalistów. Wpływ ostatniego wchodzi w okres agonji, przyspieszanej szeregiem dobrze wymierzonych ciosów.

W 1894 roku odbywa się w Nantes kongres,

który miał wszystkie cechy tłumnego wiecu. Nie zajmowano się bowiem akademickimi sporami, udoskonalaniem lub rozwojem syndykatów, lecz agitacją. Znowu ogromna większość delegatów. wypowiada się za strejkami, znowu entuzjastycznie się ukochaną ideją. Rozgorączkowanie i poczucie własnej, niezależnej siły charakteryzuje przemówienia. Wierność zapalonych słuchaczy wobec zbliżającej się bitwy jest pewną. Przyspieszono silniejszy i decydujący atak. Pelloutier, może najbardziej zasłużony organizator giełd, ich sekretarz i nieprześlągany do śmierci (1902 r.) syndykalista, równie skrzętny gospodarz jak i rozumny teoretyk, zdołał zgromadzić z całej Francji 606 syndykatów, połączonych w 34 giełdach pracy. Z drugiej zaś strony, socjaliści, zdziśiatkowani w swojej Federacji, mobilizują jednak resztki zwolenników i, pod wodzą mistrzów retoryki, „hipnotyzerów tłumu“, idą ku ostatecznemu spotkaniu. Kongres w Limoges (95 r.) miał rostrzygnąć o rezultacie walki.

Jeżeli syndykaliści odnieśli niezaprzeczone, olśniewające zwycięstwo, jeśli zdołano wprowadzić do pierwszego paragrafu statutu nowopowstałej konfederacji*) kategorię zasadę: „elementy wchodzące w skład C. G. T., powinny się trzymać nazewnictwa od wszelkich szkół politycznych“, jeśli wreszcie syndykalizm ze sposobu organizacji pracy zrobił się już jawnie doktryną społeczną o wyraźnych liniach, to również trzeba oddać sprawiedliwość socjalistom, że bronili się przeciwko niemu żywiołowi z umiętnością i poświęceniem. Zasykali oni zbuntowanych przysięgającą górą tak twardej argumentacji, że do dnia dzisiejszego wydobywają się syndykaliści z trudem na wierzch i rozbijają powoli ostre glazy ówczesnej krytyki. Guesde roztoczył przed słuchaczami cały obraz dzikiej i niepoznanej przyszłości. „Zatrzymacie wszelkie życie, zburzycie przeszłość, wypalicie plac na nowe budowle, ale na jakie?! Lecz co potem, cóż następnie? wołał. Nie wiemy; na-przód trzeba zburzyć fabrykę praw“, odpowiadał mu zewsząd. Zapanował, jak widzimy, empiryzm nad dogmatyzmem. Może to postęp. Ale przez inercję gwałtownego zerwania cała ta masa przechodzi po za linię, dzielącą ją od anarchizmu. A to już pewne niebezpieczeństwo.

Oprócz konfederacji syndykatów i federacji giełd, potworzyły się rozmaite komitety strejku powszechnego, oddziały, związki i t. p. Lecz ani różnorodność form, ani gorączkowa szybkość rozwoju nie wniosły przez dziesięć lat zasadniczych zmian w życie syndykalizmu. Zaznaczymy więc tylko, że w 97 roku na kongresie w Tuluzie po raz pierwszy została wygłoszona przerz Delesalle'a i Pouget'a apologja sabotażu (niszczenie narzędzi pracy) i bojkotu, a następnie że rok 1900 wykazał liczebność zfederowanych giełd 57 z należąca do nich 1065 syndykatami t. j. 48 proc. wszystkich istniejących wówczas syndykatów robotniczych. Dopiero 1902 rok musi zatrzymać dłużej naszą uwagę, jako ostatni etap formowania się, a początek wzrostu jednego, wielkiego organizmu.

C. G. T. istniała już przez lat siedem, a nie zrobiła nic doniosłego: nazwa była względnie sa-

mozwańczę, bo giełdy pracy stały osobno, jej cel nie osiągnięty, finanse słabe, rezultaty nikłe. Statuty zmieniano prawie na każdym kongresie, ale nie uleczono wady organicznej rozdziału. Odkryło to i wskazywało wielu teoretyków, którzy jednak nie umieli pozyskać większości i poprawić błędów. Rywalizacja dwóch centralnych organizacji okazała się zabójczą. Dla pracy płodnej, wspólnej i długotrwałej musiano połączyć się i poświęcić korzyści urojonego indywidualizmu. I chociaż z jednej strony bardziej radykalne giełdy obawiały się zamachów na swoją charakterystyczną osobowość, a z drugiej — tyraljerka luźnych syndykatów wcale nie życzyła sobie musztry rewolucyjnej, znaleziono jednak wspólną platformę. Kapitałny ten przewrót odbył się na VII kongresie w Montpellier we wrześniu 1902 roku.

373 syndykatów, 29 wolnych związków przemysłowych lub rzemieślniczych, 56 giełd pracy nadesłało w ogólnej liczbie 155 delegatów, reprezentujących 122,067 zorganizowanych robotników. Gwoździem rozpraw była wisząca w powietrzu kwestja jedności. W trakcie niemożliwie długiej dyskusji, która jednak ciągle była żywą i interesującą, okazało się, że ani jeden poważny argument przeciwko połączeniu nie został wysunięty. Cóż za wartość mogły mieć obawy przed „papiężami i cesarzami robotników zcentralizowanych“? Kogo zdołały zniechęcić prorocтва o przemianie „ruchliwego prądu w stojącą sadzawkę bezwładności“? Frazes wiecowy przysnął przy zetknięciu się z ostrzem krytyki rozumowej. Ale pozostała do przełamania sugiestja wyrazów, scholastyka pojęć. Klócono się o przecinki, mało co nie zerwano obrad z powodu przyszłej nazwy, walczone o honor kto do kogo dołącza się. Stara jak świat historia: przymiotnik „narodowy“ dodany do największych szkodników dla narodu, określenie „powszechny“ dla zupełnie szczególnej grupy, zasada „solidarności“, która może być zamaskowaną kotterją, — zawsze pozostaną sposobem łudzenia płytkich umysłów. Na szczęście dla syndykalizmu przeprowadzono czótno zgody pomiędzy skałami uporu i ciasnoty. Zniknęły rozgraniczenia form; poszczególne strumienie, kanały, prądy zlewają się w duże jezioro o silnej fali i dalekim brzegu. A tak nieznacznie zmieniła się do dzisiaj linja jego kształtu, że wystarczy zapoznanie się z głównymi zasadami pierwotnej organizacji.

Więc cała C. G. T. dzieli się na dwa autonomiczne działy: 1-o sekcja federacji przemysłu, rzemiosł i syndykatów odosobnionych i 2-o sekcja federacji giełd pracy. Oprócz tego istnieją trzy stałe komisje: wspólnego dziennika, strejków poszczególnych i — kiedyś — powszechnego, wreszcie komisja kontroli. Giełdy specjalnie rozbiły swą pracę na cztery części: 1-o Dział samopomocy, a więc wyszukiwanie zajęć, ułatwianie podróży, zapomogi bezzwrotne, pożyczki i t. d. 2-o Dział oświaty t. j. zakładanie bibliotek, kursy fachowe, pogadanki. 3-o Dział propagandy w formie tworzenia nowych związków, kooperatyw*), syndykatów i t. p. 4-o Dział oporu zajmuje się organizowaniem strejków, przygotowuje zasoby materialne, czuwa nad wykonaniem i pomyślnością walki. Wkładka członków jednorazowa wynosi 3 frs., miesięczna conajmniej 1 fr. Oprócz zobowiązań

*) Confédération Générale du Travail, którą przez skrót nazywają C. G. T. Ponieważ, jak zobaczymy, pod tą nazwą połączył się cały syndykalizm w 1902 r., więc już dzisiaj te trzy litery uzyskały prawo zrozumiałego dla wszystkich znaczenia. Skrót ten i my zachowamy.

*) Dzisiaj syndykaliści zaledwie tolerują kooperatywy, uważając, iż są szkodliwe dla zasadniczej idei. Wogóle nie lubią używać środków uznanych za dobre przez kapitalizm. To demoralizuje...

materjalnych, istnieją i moralne, normujące postępowanie zrzeszonych w stosunkach z pracą. A więc np. niewolno brać na swój rachunek pracowników, zabrania się również w jakikolwiek sposób spowodować obniżenie zarobku towarzyszków rozpoczęcie lub zaprzestanie strejku jest uzależnionem wyłącznie od decyzji komitetu syndykalnego i t. d. Natomiast stowarzyszenie zobowiązuje się dostarczyć każdemu z członków bądź pracę w razie bezrobocia, bądź też wypłaca 24 fr. tygodniowo. Przy podróży po kraju za zarobkiem zapomoga specjalna, zwana viaticum, może osiągnąć ogólnej sumy 150 fr. rocznie, wypłacanych jednak nader często w naturze t. j. jedzeniem i noclegami. Pomijając użyteczność bibliotek i kursów, ogromną usługę oddaje pomoc lekarska i prawna—naturalnie bezpłatnie. W każdym razie trzeba ciągle pamiętać, że wszystko są to dodatki istniejące na obrywkach kasy: według Sorela, angielskie trade-unjony obracają 60 proc. swoich funduszy na cele ogólnej samopomocy, a około 20 proc. na strejki; tymczasem we Francji stosunek jest akurat odwrotny. Ale nie wpływa to bynajmniej na popularność syndykatów połączonych w C. G. T., które w 1904 roku doszły do 1800, w 1906—4000, w 1908—4600, a obecnie dobiegają 6000.

Liczby podane przez biuro statystyczne ministerjum spraw wewnętrznych nie uwzględniają poszczególnie grup czerwonych, żółtych, zorganizowanych, niezależnych i t. d. Źródła zaś nieoficjalne nie są bezwzględnie pewne. Lecz nie będąciami dalecy od prawdy, przyjmując, że 10 proc. proletariatu francuskiego zorganizowało się w syndykatach, a 52 proc. tych ostatnich tworzy „syndykalizm“ t. j. masę zwolenników nowej doktryny, połączonych przeważnie za pomocą C. G. T. Porównanie liczb już nam znanych z poniższymi tablicami wykaże ściślejszy stosunek w rozmaitych epokach.

Rok.	Syndykaty handlowe i przemysłowe.			Syndykaty rolne.
	Patronalne	Robotnicze	Mieszane	
1884	101	68	1	5
1886	395	280	8	93
1890	1004	1006	97	648
1893	1397	1926	173	952
1896	1731	2243	170	1275
1900	2157	2685	170	2069
1902	2609	3679	155	3375
1904	2947	4227	153	2592
1906	3291	4857	140	2553
1908	3965	5524	170	4425

Rok.	Ilość członków w syndykatach.			
	Patronalne	Robotnicze	Mieszane	Rolne
1890	93411	139692	14096	234234
1895	131031	419781	31126	403261
1900	158300	491647	28519	512794
1905	252036	781344	25863	659953
1908	331475	957102	34388	771452

Dla wypuklenia tych cyfr można jeszcze dodać, że w Niemczech 17 proc. ogółu robotników połączyło się w syndykaty, w Anglii zaś nawet 26 proc.

R. Dołęga.

(D. n.).

Z krajowej sztuki ludowej.

(„Lietuvio kryžiai — Croix Lithuaniennes — Album krzyżów litewskich, zebranych i przerysowanych przez p. A. Jaroszewicza, wydanie Litewskiego T-stwa sztuk pięknych w Wilnie, r. 1912.)

W zakresie sztuk pięknych i upowszechnienia produkcji artystycznych robi się u nas dotychczas bardzo mało. Na tem polu wydajność kraju naszego jest minimalna i udział jego w ogólnym dorobku artystycznym jest całkiem nikły. W ostatnich latach dopiero ruch artystyczny zaczął się nieco ożywiać, zaczęto urządzać w poszczególnych miastach wystawy dzieł sztuki, zwracać uwagę na sztukę stosowaną na oryginalne zdobnictwo ludowe, powstawać zaczęły szkoły rysunkowe, zrzeszenia i związki artystów, były nawet próby perjodycznych wydawnictw artystycznych.

Są to wszakże dopiero początki, dopiero pierwsze wysiłki do przełamania bierności ogólnej i apatii w dziedzinie sztuki, pierwsze zwiastuny kultury artystycznej, która u nas, jak na Zachodzie, zdobyć winna należne jej stanowisko w rozwoju cywilizacyjnym i przeniknąć całokształt życia społecznego.

Wypełnienie tego zadania wymaga oczywiście o wiele intensywniejszej pracy, niż ta, jaką dotąd u nas w kraju łożono, ale już te pierwsze zrzeszone i planowe wysiłki, które są, świadczą o rosnącej świadomości zadań sztuki. Nade wszystko zaniedbana jest u nas dziedzina wydawnictw artystycznych.

To też powitać należy z uznaniem piękne wydanie albumu krzyżów litewskich, dokonane przez ruchliwe Litewskie Towarzystwo Sztuk Pięknych („Lietuvio Dailes Draugija“). Tak zewnętrzna szata wydawnictwa, jak reprodukowane w nim krzyże, stanowią rzecz pierwszorzędnej wartości artystycznej.

Zaniedbanie kultury artystycznej w naszych sferach inteligienckich, zanik smaku w architekturze, zdobnictwie, we wszystkich wogóle dziedzinach życia publicznego i prywatnego źle świadczą o społecznym poziomie cywilizacyjnym kraju naszego. Niestety—i w oryginalnym zdobnictwie ludowym ujawniają się cechy upadku. W drobnym przemyśle ludowym, w przedmiotach użytku, w całym urządzeniu środowiska wiejskiego—upowszechniają się coraz bardziej szablonowe wzory tandety obcej, wyroby fabryczne, wypierające stopniowo samodzielną oryginalną twórczość ludową.

Wyroby te, wzorowane na obcych elementach koślawego smaku, niespojone z rodzimą treścią artystyczną ludu naszego, płynącą z głębokich źródeł starożytnej kultury, dokońwiają dzieła wandalizmu, niszcząc i jałowięc twórczość samodzielną ludu, tępiąc żywe pierwiastki kultury krajowej. Zanikają powszechnie ozdobne stroje ludowe z licznymi akcesorjami

takowych, wychodzą z użycia stare instrumenty muzyczne, stare lokalnego wyrobu narzędzia i sprzęty domowe, nieodpowiadające już potrzebom społecznym i udoskonalonej technice rękodzielniczej i t. d. Oczywiście, że życie i potrzeby cofnąć się wstecz nie mogą i że przeto rozmaite pierwotne sprzęty i narzędzia skazane są nieodwołalnie na zagładę; niepodobna marzyć o odzyskaniu dla nich praw obywatelstwa w użytkowaniu ludowym.

Nie o to też chodzi. Muszą się one stać z natury rzeczy inwentarzem zbiorów muzealnych i nie już ich powołać do życia czynnego nie zdoła. Ale chodzi o to, że wraz z nimi zanikają te motywy zdobnictwa, te cechy twórczości oryginalnej, które się w nich wyrażały. Tęgo zaś być nie powinno.

Treść i wyraz potrzeb ludzkich są zmienne, ale natura ich jest ciągła i ciągłą też jest przeto kultura. Do nowych udoskonalonych instrumentów i sprzętów przenikać powinny te same zasadnicze pierwiastki kultury i twórczości, stopniowo się bogacąc i ewentualnie przekształcając w wyrazie i układzie. Tęgo zaś właśnie niema. I to jest złe, bo świadczy o zaniedbaniu kultury krajowej, o jej schyłku, o rosnącym ubóstwie naszym.

Wszakże, chociaż tendencja zanikowa jest na tym polu niewątpliwa, jednak dotąd oryginalna twórczość artystyczna ludowa nie ustała całkowicie. I dopóki źródła jej nie uschły, dopóty czas jeszcze na akcję w kierunku jej odrodzenia.

Coroczne wystawy litewskie w Wilnie, od lat kilku zapoczątkowane przez młode Litewskie Towarzystwo sztuk pięknych, posiadają zorganizowany dział specjalny sztuki ludowej.

Wytwory te, ogniskując wyroby litewskiego zdobnictwa ludowego, uwydatniają twórczość artystyczną ludu, a przeto ją popularyzują i dają miłośnikom sztuki podstawę do planowego działania w zakresie utrwalenia i rozwoju krajowej kultury artystycznej. Piękne wzorzyste tkaniny i pasy litewskie, rzeźba drzewna, mniej liczne wyroby ceramiczne, przedmiotach użytku, narzędziach, szczegółach ubioru i t. d., — świadczyły na wystawach literackich o żywym i czynnym dotychczas stanie ludowej kultury artystycznej.

To same mniej więcej zadanie ma pełnić w stosunku do twórczości ludowej tak litewskiej, jak też białoruskiej i polskiej w kraju, — związane świeżo w Wilnie „Towarzystwo popierania drobnego przemysłu i sztuki ludowej w gub. wileńskiej“, następnie przy towarzystwach rolniczych i t. p. Niemniej ciekawa jest też zapewne dziedzina drobnego przemysłu domowego i zdobnictwa u żydowskiej ludności miasteczkowej w kraju naszym.

Najtrudniwszym do spopularyzowania w drodze wystaw jest zdobnictwo architektoniczne, które wszakże w kraju naszym posiada wzory niepospolicie piękne i oryginalne (dwory i dworki miejskie, kościoły, cerkiewki, kaplice i kapliczki, bóżnice, chaty włościańskie, poszczególne typy zabudowań gospodarskich, motywy zdobnicze ram okiennych, drzwi szczytów i t. p., wreszcie krzyże litewskie). Jedyłą formą popularyzacji tej gałęzi sztuki jest reprodukcja artystyczna. Zwłaszcza krzyże litewskie należą w kraju naszym do najpiękniejszych i niewątpliwie najciekawszych wyrazów kultury artystycznej.

Niepospolicie urozmaicone kształty budowy

i ornamentyki krzyżów litewskich, przeróżne indywidualne skojarzenia motywów zdobniczych z zachowaniem wszakże tożsamości pewnych zasadniczych typowych pierwiastków kształtu, barw i symboliki, — sprawiają, że w tem rozstrzeleniu pozornem poszczególnych okazów daje się dostrzec i stwierdzić odrębna i jednolita logika stylu, stanowiąca właściwą cechę wszelkiej kultury. W budowie i zdobnictwie krzyżów litewskich prastare pierwiastki kultury praaryjskiej łączą się i zlewają z głęboką symboliką chrześcijańsko-katolicką oraz wpływami wschodnio-bizantyjskimi, tworząc zespół wysoce charakterystyczny i dokładnie zcałkowany. Kapliczkowe z daszkami „krzyże“ litewskie, pokrewne pagodom indyjskim, zakończone kopułkami bizantyjskimi u szczytów lub u kresów ramion krzyżowych, ozdobione motywami symboliki chrześcijańskiej, przetopionej na kształty ornamentyki całkiem oryginalnej, — należą do najpiękniejszych dzieł zbiorowej twórczości artystycznej ludu litewskiego. Krzyże te mogą być niezwykle cennym i ciekawym przedmiotem studjów dla artysty i miłośnika kultury ludowej. W społecznej duszy litewskiej przechowały się po przez wieki prastare pierwiastki pogodnej duszy aryjskiej, skojarzone przedziwnie z elementami wpływów posępnej północy fińskiej, mistyki kościelno-chrześcijańskiej Wschodu i Zachodu oraz pięknej, naiwnej prostoty boskiej nauki Chrystusa.

Wydanie albumu krzyżów litewskich przez „Litewskie Towarzystwo Sztuk pięknych“ jest zasługą poważną, jest czynem obywatelskim. Reprodukowane w albumie krzyże są przerysowane z natury przez litewskiego artystę-malarza p. Antoniego Jaroszewicza. Zbiór ten, obejmujący 150 okazów krzyżów, był wystawiony poprzednio w rysunkach na V wystawie litewskiej w r. 1911 w Wilnie. Album ozdobione jest winjetami z motywów zdobniczych ludowych przez artystę-malarza p. Antoniego Żmujdzinowicza. Klisze wykonane w pracowni p. Juraszaitisa, druk w oficynie drukarskiej p. Zawadzkiego na papierze wykwińtym.

Całość wydawnictwa jest wysoce artystyczna, czyniąca zaszczyt tak powyższym pracownikom, jak wydawcom. Rzecz ze wszech miar godna rozpowszechnienia.

M. Römer.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

W a ż.

*Jeszcze w dzieciństwie upojeniu świętem
Tyś wpelzło do mnie jak wąż chytry życie,
Piers obwijając ślizkim gadu skretem
I w swych przegubach mię dusiło skrycie.*

*Ty łuską tęczy grając w słońca blasku,
Skroń mi stroiło w białą złud koronę,
Gdym w duszę ranny tarzał się na piasku.
I czuł Twe żądło w sercu zatopione.*

Ty, coś wyśmiało skargi me najkrwawsze,
 Szyderco z każdej żądzę duszę żrącej,
 Ty, wszechobecny kacie, czujny zawsze!
 Ty, węzu we mnie wiecznie śpiewający!

R a n e k.

Był ranek taki, jakby dłoń kojąca
 Powoli z nieba usuwała cienie;
 Czas się rozkładał za wskazówką słońca
 Na złote świty, zorze i promienie;

Świat się rozpuszczał słońcem malowany
 Na mgły i cisze, dźwięki i kolory;
 A dusza w siebie brała te odmiany,
 Jak świat ów barwny i jak czas ów skory.

Nowocześni aktorzy.

Eksperymentalne próby przedsiębrane w teatrach europejskich dla przemożenia niewątpliwiej martwoty społecznego widowiska] teatralnego, nie wystarczającego już nowoczesnym potrzebom widza, są dokumentalnym dowodem, że źle się dzieje we wszystkich teatrach. Szuka się przyczyn zła we wszystkich możliwych dziedzinach życia teatralnego, rewiduje się cele teatru estetyczne i kulturalno-społeczne, bada się społeczną twórczość dramatyczną, sonduje się psychologię widzów, reformuje się teatr na przestrzeni od psychologicznego eksperymentu Stanislawskiego do optycznych ekstrawagancji Reinhardta—i mimo wszelkie starania teatr dzisiejszy potrzeb widza nowoczesnego nie zadawalnia, nie kształci go i nie porywa w atmosferę iluzji i nie bawi...

Społecznicy i „esteci z fachu“ szukają recepty, — każdy ma inną, każdy ją aplikuje przeciw innej chorobie. Dłagnozy niema, chory się nie podnosi, lekarze eksperymentują każdy według własnej manieri, a wszyscy stwarzają teatr nowy, teatr jutra, teatr przyszłości, jedyny, najlepszy, fenomenalny. A choroba wąty organizm podgryza, niszczy, zabija.

Tworzy się hałas, targowica wniosków, rad, projektów, na giełdzie krzyczy się o realizmie, o złudzeniu realizmu, stanowczej, nieklamanej prawdzie. Wystawia się sztukę z dwiema maszynami rotacyjnymi na scenie, z całym aparatem drukarskim, z maszynistą rzeczywistym, z metrapaźem rzeczywistym, z nakładaczkami rzeczywistymi, — maszyny w czasie spektaklu furczą, zecerzy składają, na scenie funkcjonuje cały aparat redakcyjny, metrapaź telefonuje i klnie, pióra skrzypią, — publiczność w antraktach dostaje dziennik, wydrukowany na prawdę podczas aktu na samej scenie. To nie wystarcza...

Wystawia się pod gołym niebem Edypa. Miljon strojów, miljon barw, tyleż aktorów, koni, wołów, wozów, zbroi, istne wędrówki narodów. To nie wystarcza...

Gra się pod gołym niebem, w cyrku Reinhardowskim .. *operetki*. To nie wystarcza...

Lament się wzmacnia. Dziś wina złego spada na aktorów. „Wymarło pokolenie aktorów o wielkim, bohaterskim giescie“.

A aktorzy nie bronią się, aktorzy milczą.

Nie chcą ich bronić przeciw razem miecza, który jest mieczem Piotra Gynta. Ale warto przypatrzeć się aktorom przynajmniej swoim własnym, chociażby dla kontroli: czy oni rzeczywiście winni są temu, że u nas źle się dzieje w teatrze.

Warto przypatrzeć się ludziom, którzy do nas ze sceny mówią, którzy się porozumiewają z nami z desek teatralnych codziennie w sprawach niecodziennych, których zadaniem i celem jest wiązać publiczność w teatrze z autorem i ze sceną, przemieniać teatr w świątynię sztuki, a słuchaczy wiązać w jedną, — tym samym duchem, tą samą myślą, tym samym nastrojem i zachwytem i ekstazą złączoną — gromadę wiernych.

W życiu każdego społeczeństwa, w życiu publicznym, w jego rozwoju społeczno-kulturalnym, estetycznym, etycznym, stoi dziś teatr mimo wszystko wszędzie, a u nas specjalnie, w pierwszym rzędzie placówek najbardziej eksponowanych. Nigdzie nie jest dziś teatr — niestety — instytucją całego społeczeństwa. Nie całe społeczeństwo ma dostęp do jego ołtarza, zbyt często jest on tylko miejscem zabawy dla snobów i leniwców.

Nie zawsze są przedstawienia teatralne nabożeństwem i nie codziennie są aktorzy kapłanami, a to co mówią ze sceny, nie zawsze jest podniesieniem ducha. Nie zawsze to, co aktorzy dają, jest tem *sanctus*, przed którym chylić się mają głowy i drzeć mają serca!

A jednak, a jednak na teatr i na aktorów zwraca uwagę całe społeczeństwo, a przecież pragnieniem jest całego społeczeństwa, by teatr zdolny był misję swą cywilizacyjną spełnić, by *niveau* teatru równem było powadze jego zadania, by aktor dla celu zadań swoich był przygotowany.

Mamy we wszystkich teatrach polskich wielkich artystów, którzy są chlubą polskiej sztuki dramatycznej: ludzi o nieklamanej entuzjasmie, olbrzymiej energii twórczej, wielkiej kulturze artystycznej, tegie głowy, dusze wrażliwe, czułe, reagujące gorąco na wszystkie objawy życia naszego, ludzi jakby spadkobierców wszystkich dawniejszych pokoleń aktorskich. Mamy w teatrze polskim w Warszawie i w Krakowie i Lwowie artystów, których sztuka jest kwiatem bogatym całego genealogicznego drzewa aktorskiego kunsztu, mamy aktorów nawskroś nowoczesnych.

Talenty ich, to scheda, ojcowizna, zyskana w rozwoju kultury po aktorach: królach, tytanach, zakutych w stal bohaterach, herosach nieustraszonych, po aktorach, którym się nie wolno było zająknąć na scenie, do których zbroja przyrosła, których gra i figury miały szerokie płaszczyzny, głębokie cienie, którzy wojować musieli nietylko z wrogiem z tego, ale i z tamtego świata, których głos w teatrze musiał być rykiem Atrydów, których boleść każda musiała być męką, piekłem śmiertelnej konwencji, Gehenną, których radość musiała być szaleństwem, a uśmiech — uśmiechem niebios.

Przeszli ci aktorzy w dziejach teatru, znikli ze sceny, przeżyła się ich służba, lecz z niej, następczo, wyrosli aktorzy, zrodzeni z literatury. Nowe to pokolenie odrzuciło koturny, jego marzeniem i ambicją było: śnić sny literackie na scenie, na jawie, wobec publiczności, którą porwać chcieli w atmosferę swoich własnych tęsknot.

Nikt z tego pokolenia aktorskiego nie znał iluzji. Nie było w tem pokoleniu aktorskim nikogo, ktoby nie był anty-iluzjonistą. Aktor wno-

sił na scenę życie, które się wstydzilo swej fikcyjności. Wszyscy aktorzy chcieli za wszelką cenę „prawdy realnej“, więc nikt z nich nie dawał typów największych, lecz wszyscy dawali postaci miary przeciętnej.

Były to typy wyrosłe z reakcji przeciwko „herosom“ poprzedniego pokolenia, typy, które chciały koniecznie być ludźmi, możliwie najbardziej zgodnymi z prawdą. A szło im o prawdę, którą można było zrozumieć i skontrolować i zmierzyć. Byli aktorami powierzchownymi, rodzącymi kabotyństwo, histerjonizm. Byli aktorami, których uwewnętrznianie się było tylko zgrubianiem zewnętrznej płaszczyzny. Nic dziwnego, że najlepszy nawet aktor tej generacji był wrogiem wszystkiego mistycznego, niezdefiniowanego, że wrogiem był każdej zagadki i każdego pytania, które się domagało odpowiedzi, że nienawidził tajemnicy.

Teatr pokolenia, którego dziećmi i wychowanymi jesteśmy, teatr wieku XIX, poczuł swoją chorobę sceniczną, poznał swoją nędzę aktorską i zaczął szukać ratunku, zaczął się leczyć. Dżagnoza była łatwa, choroba tkwiła w literaturze, a Lessingowska „Hamburgische Dramaturgie“ nie zupełnie jeszcze gniła w zapomnieniu. Więc zaczął się okres rekonwalescencji,—szczęściem równocześnie w dramacie i w teatrze.

Aktor w pierwszych dziesiątkach lat nowego wieku był więc organizacją kompromisową,—mieszanią obu typów poprzednich. W nowej swej organizacji dawał aktor marzenie obok rzeczywistości, budował zamki na lodzie, lecz zbywszy się „marzeń o małym słońcu“, budował swoje zamki na lodzie z pomocą kamienia i cementu,—realizm swej sztuki stylizował, kreacje pogłębiał i otaczał tajemniczością, dając kosoooką mozaikę marzeń niejasnych.

Ten dopiero aktor przed-Ibsenowskiego dramatu stworzył aktora, którego już my sami znamy, aktora, co zaczął na scenie żyć życiem *swój własny*, który się odważył hipertrofizować swoje osobiste walory psychiczne w każdej roli.

Oto wyrósł aktor, który zaczął szukać siebie samego, kontrolować i ważyć i rozszerzać się *na miarę olbrzyma*. Stoi przed nami aktor, co stał się idealistą swej sztuki: jego marzeniem stała się *doskonłość swego życia wewnętrznego. Mieszaniina marzenia i rzeczywistości dokonywa się w nim organicznie*.

Aktor zrozumiał imperatyw: większy człowiek — większy aktor.

Nowoczesne życie u nas zażądało od aktora zajęcia się wszystkimi swymi problemami. Coraz nowszymi kapitałami wzbogacany stan świadomości aktora, zaostrza intensywność jego aktorskiej intuicji, — wśród aktorów poznajemy ludzi, których talentem jest już nie sama tylko „zdolność do małpowania ludzi myślących“.

Teatr nasz ma już aktorów, którzy budzą podziw i szacunek już nie tylko dla swej sztuki, już nie tylko dla swej twórczości *na scenie*. Jednostki to nieliczne, ale są one stwierdzeniem faktycznym, iż zaczął się koniec zdziwienia widzów na widok znanych aktorów grających.

Ten nowy typ aktora, to: Kamiński, Solski, Żelazowski, Adwentowicz, Chmielski, Feldman, Wostrowski, Barwiński, Fritsche, Dobrzański, Rasiński, Węgrzyn (starszy), Sosnowski, Zelwewicz, Jednowski, Jan Nowacki, Siemaszkowa, Wysocka, Solska, Irena Trapszo, Arkawinówna, Michnowska, Łuszczkiewiczówna, — wszystko ludzie bogaci

w życiu i na scenie, artyści, których głębokie życie duchowe na scenie przestaje być niewiarogodną hipertrofią pół—i ćwierć życia poza sceną.

Artyści, z którymi niepowrotnie mija czas, kiedy w dramacie nowoczesnym grał aktor, co nie rozumiał autora, co nie czytał egzemplarza, co nie rozumiał własnej roli, tych słów, które wypowiadał na scenie, którymi się rozgrzewał i podniecał i rozpałał do białości.

Ustępuje ze sceny aktor, który w roli swej moralizował i płakał i jęczał, entuzjazmował się i kajał; królował i cierpiał, rezygnował i szalał nadzieją, a który wszystko to robił nie wiedząc dlaczego. Mamy artystów, którzy wiedzą, co na scenie i dlaczego mówią, którzy umieją z niesłychaną maestrią wycezyliwać do najwyższych, fascynujących możliwości psychologicznych każdą z kreowanych postaci. Szkic psychologiczny, ledwo narysowane kontury przez autora, przyjmują na scenie tę powagę artystyczną, która widza zadziwia i oślepia i to tembardziej, im lepiej mu znane jest dzieło wystawione.

Więc kiedy lekarze szukają chorób teatru naszego, niech spokój dadzą aktorom.

Dumnym bowiem winno się być z aktorów, na których kończy się możliwość lekceważenia „małpiarzy“. I dumne być winno nasze społeczeństwo z aktorów, od których w niepamięć schodzi owa głośna heterogienja: aktor w życiu idjota, a na scenie gienjusz.

Teatr nasz kroczy w tych artystach na wyżyny największej świetności: na stanowisko, na którym będzie mógł pogodzić nowoczesną sztukę z życiem nowoczesnym społeczeństwem.

Przyspieszenie tego pochodzenia leży wyłącznie w rękach społeczeństwa i dramaturgów.

Edmund Weisberg.

TEATR ZIMOWY.

Dnia 16 (29) listopada obchodziliśmy piątą rocznicę zgonu Wyspiańskiego. Dnia tego dawano po raz dziesiąty „Warszawiankę“, której jubileuszowe przedstawienie wypadło u nas właśnie wówczas, gdy cała Polska zwracała oczy do świeżego grobu na Skalce, gdzie w krypcie zasłużonych spoczywa największy nasz człowiek doby ostatniej, największy poeta i polak o sercu najbardziej gorącym — Stanisław Wyspiański.

Przed salą szczelnie zapełnioną stanął p. Jan Lorentowicz, przybyły z Warszawy, powolny zaproszeniem naszej Dyrekcji.

Lorentowicza zna duża część naszej czytającej publiczności, jako literata i publicystę, znamy go, jako dojrzałego i wytrawnego krytyka, którego sądy — zarówno literackie, jak i teatralne — posiadają obecnie niezaprzeczony antorytet. Lorentowicza — prelegenta Wilno dotychczas nie znało.

Wysłuchaliśmy jego odczytu o „twórczości literackiej Stanisława Wyspiańskiego“ uważnie. W skupieniu. Z przejęciem rosnącym w miarę, jak postrzegaliśmy coraz nowe, głęboko ujęte i odczute momenty z życia Wyspiańskiego — człowieka, Wyspiańskiego — artysty.

Odczyt Lorentowicza nie był łatwym w zało-

zeniu i poruszał kolejno wszystkie utwory, wszystkie podłoża rzeczy Wyspiańskiego.

Zrozumiałem byłoby, gdyby kilka godzin nateżonej uwagi, gdy z natury rzeczy skondensowano i skupiono ogromny śli i zagadnień, zawartych w pismach poety, znużyło szerszą publiczność, mało nawykłą dotychczas do podejmowania podobnej pracy.

Nie było tak jednak — za sprawą istotnego talentu Lorentowicza, który nie czarował nas kunsztownymi ornamentami słowa, natomiast podbił od razu powagą, prostotą i męskością swej ekspozycji.

Odczyt uprzytomnił nam raz jeszcze te pierwiastki gienjusza Wyspiańskiego, w których utrwalił się czar w-zystkich inwencji krakowskich i wszystkich czystych jego natchnień.

Więc znów wybiegliśmy tęsknotą do polskiej Mekki, by słuchać szumów, idących „od krakowskiego gościńca“...

Utrwalone w zjawach witraży, w wizjach szopki narodowej — „Weselu“, w „Legjonie“, w „Wyzwoleniu“ wreszcie — ukazały nam się gorące marzenia i bohaterskie sny Wyspiańskiego.

Wreszcie — jego mocny nakaz i przykazanie ostatnie: — zawrzyjcie groby!

To był moment ostatni, i na nim, na myśli, że czas już odwrócić oczy od trumien i cmentarzy, by jać się pracy dnia dzisiejszego, zakończył Lorentowicz.

Zebrani dziękowali mu długimi, szczeremi oklaskami. Po dłuższej przerwie zobaczyliśmy raz jeszcze „Warszawiankę“ — zawsze niezmiennie, trwale — piękną i bolesną.

W rocznicę zgonu Poety poszliśmy wiernie szlakiem jego myśli, za jego „Warszawianką“, za echem dobrze znanej melodji.

* * *

Z obiecanych nam w bliższym czasie premier poświęcamy trochę uwagi zapowiedzi „Orlecia“, które w Warszawie wypadło nadzwyczajnie pod każdym względem: zarówno artystycznym, jak kasowym.

Sztuka Rostanda dała warszawskiej dyrekcji teatrów rządowych około 75,000 rb. Dotychczas bowiem sala wciąż jest pełna i wciąż jeszcze zachwyca się warszawska publiczność grą artystów i wystawą sztuki.

Należy się spodziewać, że i u nas „Orle“ będzie ewenementem teatralnym, czwartą w rzędzie sztuk, które pozostawiły dotychczas trwale i niezatarte wrażenie.

Myślę tu o „Dziadach“, „Weselu“ i zdobyczy artystycznej bieżącego sezonu „Warszawiance“.

Stylowe ramy daje sztuce Rostanda prof. Ruszczyca. Znamy ogrom energii i zapału, jakie wkłada w każdą rzecz, której się dotyka, pamiętamy dobrze „Lillę Wenedę“; niewątpimy tedy, że i tym razem Wilno zaciągnie wobec Ruszczyca nowy dług wdzięczności.

Co się tyczy obsady, wiemy dotychczas, kto gra rolę tytułową. Księciem Reichstadtu będzie p. Węgielko. Mieliśmy już sposobność pisać pochlebnie o młodym artyście: tu dodamy tylko, że jeśli wolno się uprzedzać — uprzedzeni jesteśmy co do niego jaknajprzychylniej i z zainteresowaniem czekamy, jak się wywiąże z trudnej i odpowiedzialnej — choćby pod względem pamięciowym — roli.

Tymczasem mieliśmy dwie premjery, ściślej zaś mówiąc — jedną, bo drugą była wznowiona, kapitalna „Zemsta“ Fredry.

„Tajemniczy Dzems“ podobał się zasadniczo bardziej na galerji, niż w parterze. Zabawna bomba, napisana przez spółkę Mirand'a i Deroul'a nie jest — ściśle rzecz biorąc — sztuką pedagogiczną. Skoro jednak tolerujemy z ziewaniem „Obronę Częstochowy“, dlaczegoż nie mielibyśmy tolerować z uśmiechem „Króla włamywaczy?“

P. Klimontowicz spotkał w pociągu p. Bilińską.

Napastowaną przez bandytę uwolnił z operji w sposób rycerski, acz nie pozbawiony pewnej szorstkości i napastnika wyrzucił podobno przez okno. Tamten się trochę zabił, ten trafił trochę do więzienia karnego. Nic to. P. Bilińska jest córką autentycznego amerykańskiego ministra i wkrótce więc widzimy więźnia na wolnej stopie. P. Klimontowicz (James Samson — gentleman włamywacz) operował wprawdzie za dawnych czasów kasy ogniotrwałej — teraz jednak postanawia zostać naprawdę gentelmanem. I zostanie nim, mimo wszystko. Przedewszystkiem dlatego, że się kocha w obronionej przez siebie uroczej miss Róży Fay.

Razem z nim wrócą na drogę cnoty dwaj notoryczni rzeźmieszkwowie Dick i Avery (pp. Jerzyński i Bielicz) zachodzą wprawdzie powikłania przeważnie dzięki upartej zaciętości detektywa Ewansa (p. Czarnowskiego) — zachodzi nawet konflikt, prawie dramatyczny — (Samson demaskuje się, otwierając „po swojemu“ zamkniętą kasę, gdzie się dusi przypadkowo bardzo miłe bobo) — lecz szlachetność musi być nagrodzona. Ewans może mieć idjosynskrazję. Nic to. W ostatniej chwili sytuacji nie nadużyje.

I kurtyna spada z hałasem, kryjąc rozczulenie i pierwsze, dziewicze łzy nawróconego Dicka.

James Samson — p. Klimontowicz był doskonałym i trzeba przyznać, arcy-sympatycznym ekskrólem włamywaczów. W scenie ostatniej, gdy otwiera kasę, by ratować dziecko — miał tyle porywającej... zřęczności i sentymentu, że dwie moje sąsiadki z krzesel teatralnych nie mogły się powstrzymać, by nie zamienić między sobą wyrazów lekkiego zdenerwowania..

— Otworzy!

— Nie otworzy... Oh, nie otworzy..

— Ach! Żeby otworzył!

Dziecko się udusi..

— Ale jak on to zřęcznie robi.

P. Klimontowicz poruszył serca!

Dobrzy byli w duecie groteskowym pp. Jerzyński i Norski.

P. Czarnowski pomyślał interesująco swój typ detektywa. Wymienię jeszcze pp. Szlągowskiego i Rolicza. Grano naogół z werwą, lubo przeciągnięto niepotrzebnie niektóre momenta liryczne, co pozbawiło farsę należytego charakteru.

* * *

Wznowiona ostatnio „Zemsta“ przyniosła nam dużo wrażeń miłych, a nadewszystko trochę niespodzianek.

Pyszny cześnikiem był Knake-Zawadzki. W pewnej chwili pomyśleliśmy o słuszności umieszczonego w którymś z komunikatów teatralnych — szczegółu: istotnie: Knake-Zawadzki umie nosić kontusz. Jego cześnik miał typową, wyborną za-

maszystość, wyraźny, klasyczny rysunek, wreszcie momenty popisowe, wyzyskane z całą świadomością, jaka się spotyka tylko u najlepszych wytrawnych aktorów. Były też kwestyjki zrobione trochę pokazowo. Ot, tak: „...macie, patrzcie“—ale były zrobione tak znakomicie, że nie sposób mieć o nie pretensję. Raczej przeciwnie. Wiemy, że p. Knake-Zawadzki potrafi swoje perełki sceniczne tworzyć. Nic to, że je niekiedy robi.

Wielką i miłą niespodzianką zgotował nam p. Kiernicki. Nie przypuszczaliśmy, by rolę reagenta zagrał tak dobrze. Uwypuklił postać, która mu snać przypadła do gustu i stworzył typ wyborny.

Bardzo dobrym był dalej Papkin—Klimontowicz. W ostatnim akcie podziwialiśmy jego wyborny komizm w scenach niemych, grę jednolitą, bez szarży. Szczególna pochwała należy się p. Strycharskiemu.

Ilećko widzimy go na scenie, tylećko żałujemy, że widzimy go zbyt rzadko. Posiada talent dojrzały, charakterystyczny, ciekawy. Pp. Müllerowa i Galińska (Podstolina i Klara) grały poprawnie, lubo nie wczuły się w styl postaci, ani w specyficzny niezrównany rysunek, jaki Fredro daje swym postaciom niewieścim.

Na końcu weźmiemy asumpt z roli Wacława, którą grał p. Borowski, by powiedzieć o tym artyście słów kilka.

P. Borowski gra od początku sezonu i jest w obecnym składzie towarzystwa jedynym prawie w emploi amanta—bohatera. Pracy ma dużo; ma do czynienia z odpowiedzialnymi rolami. Nie możemy przemilczeć, że dotychczas, we wszystkim prawie, co dał—dał jednostajną, złą manjerę. Jeżeli piszemy o tem tak późno, to dlatego, że chcieliśmy sumiennie i uważnie przyjrzeć się młodemu aktorowi: liczyliśmy ponadto na moment szczęśliwy, który go nam pokaże lepiej, niż dotychczas.

P. Borowski grał z kolei: Kamila w „Cyganerji“, Zbigniewa w „Mazepie“, grał w „Warszawiance“, „Damach i huzarach“, „Zemście“ i t. d. Materiału do popisu dość. Momentu, o którym mowa—nie miał ani razu. Widzimy go na scenie zawsze takim samym, identycznym w ruchu, w głosie, w sposobie chodzenia po scenie, w manjerze patrzenia i giestykulacji. Taka manjera uchodzi, gdy się posiada tysiąc i jeden sposobów Kamińskiego, podłoże olbrzymiej rutyny—lub—uzasadnienie w świadectwie dziesiątków lat, spędzonych na scenie, które aktora często niszcza, zjadają, robią monotonnym, lub jednostronnym; u młodego artysty jest to rzecz pracy, woli i inteligencji.

A że tą ostatnią p. Borowski, zdaje się, posiada—zrozumie zapewne, że Kamil w „Cyganerji“ nie może być mdłym amantkiem, że piętno Norwidowe, to coś więcej, niż gra szablonowa; dalej, zrozumie, że młody oficer w „Warszawiance“ ma szlify nie tylko aktorskie, lecz i szlify wielkiego dramatu narodowego...

Mamy nieplonną nadzieję, że p. Borowski zrozumie też i intencję słów powyżej skreślonych, że zechce krytycznie przyjrzeć się sobie i pojąć, jakie to mianowicie walory pozwala mu ująć młodość, rzecz, którą posiada, a bez której trudno i pracować i mocno pragnąć.

Zdzisław Kleszczyński.

MUZYKA,

Drugi koncert Wileńskiej orkiestry symfonicznej podobnie jak i pierwszy był prawie w całości poświęcony muzyce rosyjskiej.

Dyrygował p. Gałkowski.

W programie widniały nazwiska: Kalinnikowa (I-a symfonia g-moll), Czajkowskiego (wyjątki z serenady: walc i elegja), Mussorgskiego (słynny poemat „Noc na Łysej górze“), Liadowa (polonez) oraz jedno z wielkich polskich nazwisk—Stanisława Moniuszki (uwertura „Bajka“).

Symfonia Kalinnikowa ma bardzo prawidłową, jędrną formę, przystępną pod względem melodyjności tematy o charakterze wybitnie narodowym.

Prawdziwie poetyczną i oryginalną jest część druga—finał zdradza bardzo dobrą robotę kompozytorską i dzięki udatnemu wprowadzeniu tematów poprzednich części daje syntezę całego dzieła.

Część pierwsza, obfitująca w ładne pomysły melodyjne straciła wiele skutkiem wzięcia zbyt prędkiego tempa nadającego ton skoczny tematowi poważnym; Scherzo nie ma w sobie nic specjalnie godnego uwagi.

„Noc na Łytej górze“ niezwykle bogata pod względem obrazowości pomysłów, wzmoczonej przez świetną instrumentację Rimskiego Korsakowa, uboga pod względem polifonicznym, zawsze wywiera silne wrażenie bujnym rozmachem fantazji.

Wyjątki z serenady Czajkowskiego: walc i elegja należą do słabszych utworów tego kompozytora, przyczem nie były dostatecznie wycienowane.

Polonez Liadowa przy swojej bezbarwności i jednostajności rytmu jedynie tem mógł zainteresować publiczność, iż był grany bez dyrekcyj.

Prześliczna „Bajka“ Moniuszki—doskonale odtworzona przez orkiestrę—odbijała zasadniczą odrębnością nastroju i stanowiła świetlany punkt programu.

Wykonanie wyżej wymienionych utworów odznaczało się dużym polotem przy pewnym niedocienianiu szczegółów, co zresztą wymaga większego zgrania się orkiestry.

* * *

Ogromne zainteresowanie wzbudził wieczór Lutni, na którym publiczność wileńska dzięki p. Alinie Wróblewskiej z Grodna i jej młodocianym uczennicom mogła zaznajomić się z tak dziś głośnym systemem gimnastyki rytmicznej Jacques'a Dalcroze'a. Wprawdzie ów pokaz zawierał tylko abecadło metody—pomimo to jednak znajdowały się tam rzeczy niezwykle interesujące i nawet muzycznie trudne—wykonane bez najmniejszego wysiłku umysłowego lub fizycznego przez 2 dziewczynki w wieku lat od 10—12, co świadczy o przystępności i jasności metody Dalcroze'a.

W części muzycznej wieczoru na plan pierwszy wysunęło się wykonanie kwartetu c-moll Beethovena przez zespół kameralny Lutni.

H. Łopuska.

SPOWIEDŹ POETKI.

IMAGINA, poemat Marji Konopnickiej.
Z przedmową A. Grzymały-Siedleckiego.
Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa,
1913, str. 328, w 16-ce.

Przed dwudziestu sześciu laty, w różnych czasopismach warszawskich („Tygodnik Ilustrowany“, „Kraj“, „Głos“, „Życie“), zjawiać się zaczęły fragmenty dziwnego poematu Marji Konopnickiej p. t. „Imagina“. Słyszano w nich łopot skrzydeł jubileuszowych jeszcze wyraźniej, niż w innych utworach poetki, jak np. w „Romansie wiosennym“. Ale istota utworu cokolwiek zbijała z tropu: poetka, która w dotychczasowej swej twórczości pragnęła przede wszystkim „dać usta wszystkim krzywdom ziemi“, która w „wielkim ducha bezprzytułku“ poszła „śród nocy, tą drogą, którą łez ludzkich wskazywały ślady“, tutaj poszybowała na skrzydłach fantazji w krainę najlotniejszych marzeń, wypowiadać zaczęła najgłębsze tęsknoty i nadzieje. Krytyka, spłoszona tymi nowymi tonami wspaniałej pieśni, oczekiwała wciąż związania fragmentów w całość. Chmielowski, złudzony snadź pozorami, nazwał „Imaginę“ bez drgnienia „utworem epicznym“, chociaż jest to poemat nawskroś liryczny. Cała twórczość Konopnickiej rozwijała się potem i rosła w myśl tragicznie przemyślanej, bezpamiętnie ukochanej zasady, że sztuka związana jest najsilniej z bólami i cierpieniami narodu, że czyn bohaterski ma piękno niemniej wzniosłe, niż dzieło sztuki czystej. I oto „Imagina“, gdzie dusza poetki skarży się, płacze, dźwięczy wciąż tonami goryczy i żalu, to znów spowiada się z najtajniejszych rozterek, nadziei, rozpaczy, wierzeń i bólów — poszła w zapomnienie, bo zapomnieniem całkowitem jest suche rejestrowanie natchnionego dzieła przez bijografów i historyków natury.

Dopiero dziś, w kilka lat po śmierci największej poetki narodowej, otrzymujemy jej dzieło ukochane w całości. Nie znamy zleceń Konopnickiej co do ogłoszenia „Imaginy“. Nie wiemy, co sama myślała o tym poemacie, ani też, dlaczego za życia nie chciała oddać go swym wielbicielom. Łatwo przecież zrozumieć powody takiego umyślnego ukrywania najpoufniejszych akordów swej duszy. Przez cały ciąg ziemskiej wędrówki, cierpienia innych zatapiały u Konopnickiej jej własne troski. Zaglądała nieustannie w głąb swej istoty, uczuwała niekiedy znękanie i zniechęcenie, ale były to wszystko przejawy własnej bezsilności wobec bólu, na który patrzyła. „Imaginie“ kazała stać się pośmiertnym świadectwem nieujawnionych poetycko marzeń.

Snuje się w poemacie cieniuchna nić o wędrówce Lucyla, o jego miłości do Imaginy i o tem, jak przezysta Imagina — marzenie zamienia się w potworną wiedźmę Magistelejdy — rzeczywistość. Kto jest Imagina? Ona jest kwieciami serca Lucylowego, jest „gwiazdą złotą, którą każdy spotyka na swej drodze“, jest tajemniczą siłą, snów pieszczotą; trzeba iść do niej „przez śmierć i przez trwogę“.

„Jestem — mówi — ksieni

Tych, którzy własne serce swe drugocą
I w przyszłość idą, przyszłością natchnieni...
Z długiej zadumy ja rodzę się nocą...“

Imagina tylko dotyka skłoniłami człowieka,
budzi go i odchodzi, bo jest „kochanką świtów,

nie wieczoru“. I oto Lucyl walczyć musi z Magistelejda. Etapy tej walki rozwijają się w poemacie we mgłach. Nigdy może w poemacie takiej, jak „Imagina“ wspaniałości wyrazowej symbol nie był bardziej zmacony, towarzyszące mu obrazy bardziej przypadkowe i rozwiewne. Chociaż z ironją, ale i z odrobiną goryczy poetka woła w zakończeniu: „Wyznam — mnie samą nudzi już figura do zbytku długa, mglista i ponura“.

Po kilkunastu przecież stronicach rozumiemy łatwo, że historia Lucyla służy tu jedynie za wiązadło nastrojów, zadum, tęsknot, gorzkich refleksji, nadziei poetki. Istotę poematu stanowią właśnie te długie dywersje i intermezza, brzmiące jak najcudniejsza spowiedź. Konopnicka ze wszystkich naszych poetów po Słowackim, była tą, co „gadała wierszami“ ze zdumiewającą swobodą. Oktawy jej leca, jak „stadko białych nad dachem gołębi, gdy się pod słońce trzepocą i świecą strzącając rosę“. Ta swoboda wciągała ją często w dżyny nadmierne, w rozlewność, zatapiającą głęboką, natchnioną myśl — w retoryce. „Imagina“ powstawała w epoce, gdy poetka najwięcej ulegała tym dążnościom. Wzorowana mimowoli, ale bardzo wyraźnie na „Beniowskim“, rywalizuje z nim często czarem oktaw, potocznością gawędy, stylem bogactwem obrazów. Ale nie dorówna mu całokształtem budowy, ani siłą rozmachu. Tam jest piekielna ironja, duma, poczucie siły zapoznanego gienjusza; tu jest rezygnacja, smutek, głęboka miłość, leciuchno tylko goryczą zaprawiona. Związana organicznie ze wszystkimi troskami i bólami ziemi rodzinnej, poetka ma wciąż zwrócone ku niej oczy. Duch jej, gdy spojrzy w głąb samego siebie, widzi tam przedewszystkiem łzy i niedole i rozpacz całego pokolenia, więc nie rad zatrzymuje się dłużej nad własną tęsknotą. Zaduma nad narodem wydaje przepyszne oktawy. Oto np. poetyckie spojrzenie na naszą przeszłość:

„Przez całe dzieje, jak doba ich długa,
Dziwnie byliśmy w błękitny rzuceni,
Porwani skrzydły husarów od pluga
I u gotyckich wieżyc uczepieni.
W górę nas parla żelazna koleczuga,
A rozmach konia, kopji i pierścieni
Oślepnął nas cisnął pod strop firmamentu,
I tak stał dziwny gmach — bez fundamentu.

Więc my zgrzeszyli dzieciom przez ten ślepy
Pęd, co z nas strzelił wieżami złotemi
I chmury nakrył drogimi czerepy
Blach srebrnych, w niebo porwany od ziemi.
W kruchościach my czołem bili, jako cepy.
Jak dzwon w modlitwach głośni, ale niemi.
Kiedy dla własnej i ziemskiej istności,
Przyszło rzec słowo braterstwa, miłości“.

To nie jest sąd, to tylko chwilowe ręk załamanie nad teraźniejszością. Bo poetce tęskno „do złotych pyłów za tabunem koni“, bo nieraz słucha nocą, „czy nie dzwoni szabla od Baru i zbroja z djamentu“. Błądzi myślą po ugorach polskich, szuka siły, chciałaby wypełnić wszelką słabość i — tonie w marzeniu. Nie daje ono uspokojenia. Sława? „O, niechaj się kto chce zadławi jej gorzkim chlebem, pieczonym z piołunów!“. Męki poetki nikt nie odczuje, nie pojmie, „z jak dziwnym trudem myśl w ciało się zmienia, bój sam z sobą widząc tajemniczy“. Nie złudzi ją zapewnienie popularności:

„Znana?.. Kto znał mnie? Chcę widzieć człowieka
Coby mi w oczy powtórzył to słowo
Tak, by mu kłamstwem nie drgnęła powieka,
„Znana“ — i „nasza!“ O, nędzna wymowo,
Jakże ty jesteś od prawdy daleka!
Ten wiatr i obłok, leącący nad głową,
Więcej wam znane i więcej wam krewne,
Niż ja, niż serce moje smutne, śpiewne“.

Tylko gdy poetka myśli o „duszach prostych“, to się „sercem kruszy i wielkiem ludzi kochaniem przejmując“. W pogoni za swym bohaterem, poetka zatrzymuje się na wszelkich rozmaitych drogach i puszcza szczyły tęsknoty w nie wiadome jutro. Tyle, tyle marzenia! Tyle, tyle myśli o życiu, chociaż się chciało marzyć o sobie! Aż wreszcie „strofy te parzą, jak wrzątek, bo niema z czego kuć dzisiaj już Sparty, ni Termopilów“. Poetka odrzuca od siebie te karty, od których serce ma „drżące i chore“ i kończy się „Imagina“, „chociaż mogłyby być początek“...

Lucyl wciąż „pędzi w świat otwarty“ i — pędzić będzie... Świadectwem jego tęsknoty za „Imaginą“ pozostaną te sześćset oktaf, lśniących, jak najdrogocenniejsze klejnoty polskiej mowy poetyckiej.

Jan Lorentowicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Tadeusz Konczyński. *Zawrotne drogi* (powieść) str. 283.
Warszawa 1912: Gebethner i Wolff.

Płodność pisarska Konczyńskiego jest zadziwiająca. Daje on po dwie powieści rocznie, daje komedię lub dramat, czytamy oprócz tego w różnych pismach jego artykuły. Gdy się zważy więc na to, ile „wypisuje“ Konczyński, nie można żądać, by wszystko cokolwiek wyjdzie z pod jego pióra, stało na wysokości zadania. Pośpiech w robocie pisarskiej przeszkadza bardzo. Nieraz temat sam jest interesujący i otwiera szerokie pola możliwości artystycznych, ale Konczyński musi się zadowolić najprostszą, najkrótszą, bo nie może wydołać opanowaniu tematu w tak krótki czas. Zwykle bowiem artysta, nim wydotanie ze swojego pomysłu najplastyczniejszy wyraz — przechodzi przez całą kalwarię komplikacji. Musi tak zbudować organizm swojego dzieła, by nie raził drobiazgowością, a jednakże nie wolno mu też zbyt schematyzować wszystkiego.

„Zawrotne drogi“ Konczyńskiego robią wrażenie, że właśnie zabardzo uproszczono w nich dramat psychologiczny, jaki nurtuje sercem i mózgiem kobiety, dążącej do samodzielności, do człowieczeństwa. Wskutek tego miast całkowitości wrażenia otrzymujemy przeświadczenie, że p. Wanda jest raczej nerwowo chorą osobą, niż jednostką świadomą celów, do jakich dąży.

Nie wiem bowiem czy można nazwać emancypacją ucieczkę od kochającego męża? Może istnieje powód do nieporozumień, ale do ucieczki wcale go niema. Tak przynajmniej rzecz ta wygląda z toku opowiadania Konczyńskiego. I dlatego powieść tę należy uważać za dokument niezdrównej psychologii, za dokument chorowitości — ale nigdy nie może ona być obrazem szamotań się kobiety o przynależne jej prawa.

Pani Wanda opuszcza dom męzowski, by po-

święcić się sztuce. Mąż chętnie jej służy pomocą, ale pani Wanda miast studjować sztukę, zapatruje się w uroczę oczy mistrza. Ten mistrz staje się... sztuką p. Wandy, do której dążyła. Jedzie z nim do Paryża, daje mu wszystkie haszysze swojej miłości, żąda wyłączności przeto dla siebie, ale „artysta“ nie uznaje takich przywilejów. Pani Wanda pozostaje więc sama. Zniszczyła dom swój dla chorej chimery, unieszczęśliwiła męża i dzieci, nie zyskała za to nic, krom... wstydu.

Powraca więc w rodzinne strony. Trudno jednak odnaleźć dawne szczęście. Tylko pogorzeliśka i popioły rozkładają się na dawnych kwietnych i bujnych polach.

Fabuła mogłaby interesować. Trzeba było jednak miast skandaliku dać istotny obraz walki duszy kobiecej o swoje prawa. Trzeba było pokazać Ikarowe loty dążeń kobiecych w zapasach o byt, o niezależność.

Najlepsze stronicie książki dał Konczyński w ekspozycji. Zapowiada ona wiele. Nie dotrzymała jednak wszystkiego. A szkoda — bo kwestja, którą chciał nam przedstawić Konczyński, jest na porządku dziennym rozmyślań naszych społecznych. Język powieści Konczyńskiego jest dobry, a nawet wyjątkowo dobry. Znać, że mamy do czynienia z pisarzem kulturalnym. W stosunku do powieści różnych Wierzbickich — „Zawrotne drogi“ zajmują miejsce poczesne. Należą one w każdym razie do literatury, a nie do wyrobów feljetonowych.

Eustachy Czekalski.

Aleksander Kraushar. *Okruchy przeszłości*. Warszawa i Kraków. Gebethner i Wolff 1913 Str. 330.

Niedawno obchodzono w Warszawie jubileusz zasłużonego historyka naszego Aleksandra Kraushara. Któż go nie zna? Kto nie czytał jego podniosłych „Dziejów Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, jego smutnych dziejów „Repnina w Polsce“, jego niezliczonych przyczynków do dziejów naszych w końcu XVIII i XIX wieku. wydanych oddzielnie i rozrzuconych po czasopismach wszystkich zaborów. Pracowitość, wytrwałość, zabiegliwość tego uczonego jest fenomenalna. Przywiązanie do Ojczyzny, do każdej najdrobniejszej nawet pamiętki o ojczyźnie świadczącej, politycznie czy kulturalnie, świadczącej o walce o ojczyznę, o sławie, o tęsknocie, o ofierze na rzecz sprawy narodowej — znalazła w Krausharze dziejopisa niezmodowanego.

Czego on nie wie? O jakakolwiekby stroń życia zahaczyć, czemkolwiek się zająć w zakresie dziejów porozbiorowych, wszędzie natrafić można na jego ślady. Ileż dokumentów on ocalił ze zbiorów prywatnych, ileż ogłosił pamiętników?! Pomimo wieku i jubileuszu, po którym można od dawać się przecie zasłużonemu *otium cum dignitate* Kraushar nie przestaje ogłaszać co raz to nowych tomów i tomików.

W r. b. ogłosił znowu dalszy tom „Pamiętnika“ własnego oraz zbiór szkiców p. t. „Okruchy przeszłości“ — trzydzieści przeważnie drobniejszych szkiców treści politycznej i kulturalnej, niezawsze jednak ważnym poświęconych zjawiskom historycznym, często jednak nadzwyczajnie ciekawym, zawsze przeczytania godnym. Są tu szkice związane z dziejami Warszawy, powstań narodowych, są dokumenty związane z Niemcewiczem, Skrzyneckim; jest kilka kartek o Kilińskim, o bibliote-

ce Załuskich, o kodeksie Napoleona. Niema potrzeby polecać tej książki, ile że i bez polecenia znajdzie się w rękach ciekawego swej przeszłości czytelnika.

Stanisław Posner.

Listy do Redakcji.

Szanowna Redakcjo!

Proszę uprzejmie uzupełnić sprawozdanie p. Czekalskiego o polskich przekładach Bergsona, ogłoszone w „Przeглядzie Wileńskim” № 45-46 r. b. na str. 19 uwaga, że pierwszy polski przekład jednego z pomniejszych pism Bergsona pojawił się już w r. 1902 staraniem komitetu redakcyjnego „Wiedzy i Życia”: (tworzą ten komitet po dziś dzień prof. Pawlikowski, Kasprowicz, Nusbaum, Twardowski); był to przekład pisma p. t. „Le rire” i nosi tytuł: „Śmiech, Studjum o komizmie” (Nakład księgarni L. Altenberga we Lwowie).

Z wysokiem poważaniem

Prof. dr. K. Twardowski.

Lwów 26/XI

„Bogowie pragną“.

(„Les Dieux ont soif“ — pow. Anatola France'a — Paryż — wyd. Calmann - Levy 1912 r.).

„Poezja budzi dwojakiego rodzaju zainteresowanie,—mówi H. de Regnier w swych „Postaciach i charakterach“ („Figures et caractères“).—Interesuje, gdyż myśl wyraża, interesuje również formą, w jakiej myśl wyraża“.

To ostatnie właśnie zainteresowanie budzi twórczość Anatola France'a. Mniej widzimy w nim myśliciela — więcej — artystę słowa. Wielbiciel Grecji antycznej utożsamia on ideję z formą, formie dając nierazkiedy pierwszeństwo.

Umysł to bogaty, rzutki, grający tysiącem barw i odcieni, natomiast filozofja jego jest raczej błyskotliwą niż głęboką.

Natomiast giętkość słowa ma czar niezrównany. R. Cor mówi o nim co następuje:

„Człowiek ten posiada tajemnicę myśli pięknych i słów jasnych. Język nagina dowolnie, nie męcząc go. Daleki od brutalności naturalistów, równie jak i od nużącej mglistości dekadentów—styl ma zmysłowy a prosty, który sam przez się upiększa rzecz każdą. Jest grekiem przez sposób mówienia, harmonję subtelność zuchwałą i gust wytworny. Żadne dzieło społecznych mu pisarzy nie oddaje tak jak jego ideału piękna klasycznego, dar ten czyni zeń pisarza antycznego; on sam w ten sposób się określa:

„Wszystko rzec — to nic nie powiedzieć. Wszystko wykazać — to nic nie pokazać. Obowiązkiem literatury oświecić to, co uznaje światła godnem. Jeśli zaś przestaje wybierać z upodobaniem — upada, jak kobieta, która się oddaje bez umiłowania“ (France. „Życie literackie“ t. I, str. 78)“.

Kult dla Grecji antycznej nawarstwił duszę A. France'a swego rodzaju poganizmem, że zaś dusza to jednocześnie sceptyka, który wiele widział, wiele przeżył, zrozumiał, do wielu rzeczy przyłożył skalpel badacza—więc też stąpa on dziś

obojętnie wśród ruin wielu moralnych, religijnych i społecznych postulatów, zajmując względem nich stanowisko nie powiem — wroga, raczej ironicznie-go obserwatora.

Przejętemu negacją umysłowi—Grecja pozostawiła jednak dar jeden w dziedzinie odczuwania—darem tym—ukochanie piękna. Kult piękna pozostał jasnym promieniem duszy jego, przeciw reszcie uzbraja się France w ostrą, ciętą ironję, a naturalizm jego obojętne zmysłu krytycznego jest mu doskonałym sprzymierzeńcem.

O tej swej ironji mówi nam France w „Ogrodzie Epikura“ („Le Jardin d'Epicure“ — Paris — Calmann-Levy, 1894 in-18).

„Ironja, którą do życia pobudzam, nie jest okrutną. Nie szydzi nigdy z miłości ni z piękna. Jest łagodna i dobrotliwa, śmiech jej ucisza gniew, uczy nas bowiem śmiać się ze złych i głupich, względem których bez niej może nie ustrzeglibyśmy się słabości takiej—jak nienawiść“ (str. 122).

On sam — jak to już rzekliśmy ludzi nienawiścią nie zaszczycza, ma dla nich jedynie wzgardę, której wyrazem — ironja.

Ironja ta — musimy dodać — przechodzi u niego różne fazy. W dawniejszych pracach — mimo wszelkie usiłowania spokoju — widzimy ją bardziej emocjonalną (np. u „Sylwestra Bonnard“), zaprawioną uśmiechem goryczy, pod którym kryje się leciuchny smutek.

W ostatnich natomiast utworach jest bardziej zimną, otamowaną, siedzibą jej nie serce, lecz — intelekt.

I oto pisarz tej miary, tego ducha w ostatniej swej pracy „Les Dieux ont soif“ — porusza taki emocjonalny, drgający nerwem życia temat — jakim jest zawsze rewolucja francuska.

Co mógł zeń zrobić? jak go ujmuje? Książka obudziła zaciekawienie powszechne. Przyjrzyjmy się, zobaczmy sami.

Autor rzuca nas odrazu w środowisko obrad konwencji, tego ciała politycznego Francji z 1792 r. Obawa zdrajców, przechodząca w jakąś manję przesładowczą, zapelnione więzienia, wyroki śmierci, sypiące się bez końca, tak że wykonanie ich przestaje w końcu czynić na ludności wrażenie, śmierć Marat'a, sylwetka Karoliny Corday, porażka i śmierć Robespierre'a — a na tem tle zanik wszelkiego intelektualnego życia, zastój w każdej godzinie, głód, rozpasanie instynktów, namiętności, zatracenie poczucia miary i sprawiedliwości, a wszystko to — w imię ojczyzny, dla dobra i zbawienia Francji.

„Ci ludzie, którzy zburzyli królestwo,—mówi France o zasiadających w konwencji, którzy wyrócili stary świat — nie spodziewali się przebaczenia nieprzyjaciół. Mieli do wyboru zwycięstwo lub śmierć — stąd ich zapal i spokój duszy“.

Czy może nas dziwić, że ten spokojny esteta patrzy na wszelkie te przeobrażenia zimno, nie zdolny brać serjo jakichkolwiek namiętności, do wszelkich zmian epoki przykłada swą miarę sceptyka, na wszystko patrzy bez zachwyty, bez zdziwienia, lecz i bez oburzenia.

Oto jak widzi procedurę sądową konwencji: „Trzeba było opróżniać więzienia, wypełnić po brzeg, trzeba było sądzić, sądzić bez wyczerpania ni spokoju. Prokurator publiczny i jego zastępcy wyczerpani, trapieni bezsennością, otrząsali się z tego natłoku spraw jedynie gwałtownym wysiłkiem woli. Zły stan ich zdrowia czynił z nich samych ofiary. Sędziowie — różni pochodzeniem i charakterem, jedni wykształceni, inni —

ignoranci, podli lub szlachetni, łagodni lub gwałtowni, hipokryci lub szczerzy — wszyscy — w niebezpieczeństwie grożącym ojczyźnie i Republice — odczuwali lub zdawali się odczuwać jedną udrękę, zdawali się gorzeć jednym płomieniem, wszyscy okrutni przez cnotę lub obawę — tworzyli jedno ciało, jedną głowę głuchą, gniewną i nieubłaganą, jedną duszę, jedną bestję tajemniczą, która, wprowadzając w ruch naturalne swe funkcje, powodowała niezmiennie śmierć.

Sądzili w gorączce i w odrętwieniu, które sprowadzał nawał pracy, podnieceni z zewnątrz i z rozkazu najwyższego, pod groźbą sankjulatów, w powietrzu zduszonym i zatrutem, które paraliżowało funkcje mózgowie, od którego szumiało w uszach, biło w skroniach, krew napływała do oczu“.

„Wreszcie — byli to tylko ludzie — ani gorsi, ani lepsi od innych. Niewinność jest najczęściej szczęściem, a nie cnotą — ktokolwiekby był na ich miejscu — działałby tak samo, spełniając swą marną duszyczką to zadanie straszliwe“.

By podkreślić silniej własny stosunek do przedmiotu, autor wybiera bohaterem człowieka właściwie mającego instynkty raczej dobre i szlachetne. Widzimy go w nędzy, oddającym zdobyty kawałek chleba biednej, nieznanej sobie kobiecie. Jest to młody artysta-malarz, Ewaryst Gamelin, uczeń Dawida, który następnie wchodzi w skład sędziów i tu — pod działaniem tego systemu sądowniczej maszyny, w imię idei zbawienia ojczyzny — staje się nieubłaganym, okrutnym, sfanatyzowanym do tego stopnia, iż ubóstwiająca go matka ma wreszcie dlań okrzyk oburzenia: „tak to monstrum“.

Autor właściwie nie napada na system, nie krytykuje nawet ludzi, przeprowadza jedynie analizę, notuje fakty — i wyciąga z nich wnioski.

„Umysł Ewarysta, — pisze on, — niespokojny i pełen skrupułów z powodu nauki Jakobinów i tego, co dawało życie — ogarniały wątpliwości. Wszędzie widział on konspiratorów, szpiegów i zdrajców. Myślał wówczas: Republiko, przeciw tylu wrogom tajnym i jawnym masz jedyną ucieczkę — święta gilotyna, zbaw ojczyznę!“

„Gamelin z kaźni uczynił sobie coś w rodzaju idei religijnej i mistycznej, przypisując jej cnotę i zasługę. Sądził, iż należy się kara przestępcom i popełniałoby się względem nich niesprawiedliwość, pozabawiając ich takowej“.

Tenże Gamelin, którego początkowo widzimy nieśmiało zdobywającym uczucie sprytniej Elodji, córki handlującego sztychami, kupca Blaise'a, — jednocześnie z godnością swą sędziowską nabiera powagi i przykuwa do siebie młodą dziewczynę, dostatecznie zdeprawowaną, by ten welon krwawy, otaczający Gamelin'a, nie stanowił dla niej swego rodzaju przepysznej przyprawy. I rozwija się romans tych dwojga na tle mordu. krwi, gilotyny, przechodząc w namiętność prawie zwyrodniała.

„Elodja, — mówi autor, — kochała go całym ciałem, im więcej widziała go straszniejszym, okrutnym, srogim, pokrytym krwią swych ofiar — tem silniej go pożądała i pragnęła“.

„Obecnie budził w niej przestach, zdawał się być monstrum — bała się go i podziwiała. W nocy, zwarci uściskiem — krwawy kochanek i lubieżna dziewczyna — zamieniali w milczeniu pocalunki szalone“.

Miłość ta, rozpalona w płomień pożerający — gaśnie z śmiercią Ewarysta. Jest on naocznym

świadkiem upadku i śmierci Robespierre'a, próbuje odebrać sobie życie, lecz tylko się ran i zostaje utrzymany przy życiu jedynie po to, by stało się zadość wyrokowi sprawiedliwości. I oto — były artysta-malarz, były członek konwencji, uwięziony w Concièrgérie w parę dni później przejeżdża koło okna swej ukochanej na wozie, wiozącym ofiary gilotyny. Towarzyszą mu wrogi okrzyki sfanatyzowanego tłumu, a z góry, z okna znanego mu dobrze pokoiku ręka kobieca rzuca mu gwoździak czerwonony, ulubiony kwiat obojga, którego jednak skrepowane ręce więźnia pochwycić nie zdołały.

A p tem — nowy zgrzyt — nie, to tylko zanotowana jedna z form życia z jego wiecznym prawem zmian i rozwoju. Widzimy oto, iż Elodja pociesza się wprędce i dla nowego swego kochanka ma też same pieśczoty, też same nawet słowa, któremi niegdyś, po pierwszej schadzce żegnała Gamelina, a które autor rozmyślnie powtarza:

„Bywaj zdrow, miłości ty moja. Oto godzina, kiedy ojciec mój zwykł wracać. Jeśli usłyszysz szmer na schodach, biegnij szybko piętro wyżej i nie schodź póki nie będziesz zupełnie pewny, że nie zostaniesz dostrzeżony. Stuknij trzykrotnie w okno stróża, by Ci otworzono drzwi na ulicę. Bywaj zdrow miłości ty moja, życie moje, duszo moja“.

Są to również końcowe słowa książki — zamykają niejako w sobie myśl autora. Wszystko przemija! Na gruzach starego powstaje nowe życie, a z niem nowe radości. Bo życie jest jedno, ci ludzie i wypadki to tylko przemijające nawarstwienia i fale, które wiatr zmywa.

Konstrukcja książki jest ciekawą. Autorowi chodzi przede wszystkim o całość, o syntetyczne ujęcie obrazu. Więc też romans Ewarysta i Elodji nie stanowi głównej osi fabuły. Jest on epizodem równoplanowym z innymi, potrzebnym dla wypuklenia zasadniczych punktów. Postacie obojga kochanków nie wysuwają się na plan pierwszy — mamy tu cały szereg ludzi rzonych mimochodem, a wszystkie razem obrazują właściwie całość.

Więc łagodna, jasna postać duchownego zakonu Barnabitów, ojca Longuemare, szlachetna, pełna siły filozofa Brotteaux, ogromnie wdzięczna 16-letniej dziewczyny ulicznej Atenais, — małej poganki — wiele innych. Dzieje tych trojga stanowią może właśnie najpiękniejsze stronicę książki. Oto niedowiarek Brotteaux wyrывa z rąk rozbestwionego tłumu ojca Longuemare i daje mu schronienie w swej izdebce, na strychu. Dawniej, przed rewolucją Brotteaux — był zamożnym właścicielem hoteliku, wydającym wspaniałe obiady dla gwiazd scenicznych. Rewolucja — zabrała mu dostatek, antyki, porcelany, powozy. Więc maluje teraz sprzedawane na ulicy portrety, pisze mowy okolicznościowe za susy, wycina i maluje pajace.

W dni kilka później ma inne spotkanie: nieznana mu dziewczyna uliczna błaga go, by ją ukrył, bowiem jest ścigana i grozi jej więzienie. Rewolucja, pragnąc oczyścić obyczaje, burzy i rozbija domy rozpusty. W dodatku dziewczyna wzniosła okrzyk: „Niech żyje król“.

I znowu Brotteaux wprowadza ją do siebie, pytając ojca Longuemare, czy nie ma on nic przeciw temu.

— Jakiem prawem miałbym się sprzeciwiać mówi zakonnik z całą prostotą — czyż obecność

jej miałyby mi ubliżyć? Skąd jednak pewność, że od niej lepszy“

„Godziny były na wieżach kościelnych, Brotteaux nie spał, słuchając spokojnych oddechów zakonnika i dziewczyny. Księżyc, świadek dawnych jego miłości, wzeszedł, posyłając wewnątrz mansardy srebrny promień, który zaigrał na złotych włosach dziewczyny, oświetlił brwi jej złociste, nos cienki, usta wypukłe, czerwone. Atenais spała, zaciskając piąstki.

— Oto, — pomyślał Brotteaux — jeden ze straszliwych wrogów republiki.

Gdy Atenais zbudziła się — był już dzień. Zakonnik był już wyszedł. Brotteaux pod okienkiem czytał swego Lukrecjusza, kształcąc się na muzie łacińskiej, jak żyć bez trwogi i bez pragnień. W tej chwili właśnie duszę jego szarpał niepokój.

Otworzywszy oczy, Atenais, zdumiona, zobaczyła nad swą głową sklepienie strychu. Przypomniałszy sobie wnet wszystko, uśmiechnęła się do swego zbawcy i wyciągnęła ku niemu swe brudne łapki z chęcią pieszczoty.

Uniósłszy się na swem posłaniu, wskazała opustoszały fotel, w którym zakonnik spędził był noc.

— Poszedł? A czy nie zadenuncjuje?

— Nie, moje dziecko. Trudno znaleźć szlachetniejszego człowieka nad tego starego szaleńca.

W jakiś czas potem wszyscy troje znajdują się w więzieniu, a potem widzimy ich na wspólnym wozie gilotyny.

„Dreszcz przeszedł tłum, gdy z kolei Atenais przechodziła. Miała wygląd dziecka. Skłoniła się przed duchownym.

— Ojczy, — rzekła z prostotą — daj mi rozgrzeszenie.

A ojciec Longuemare, mrucząc z powagą sakramentalne słowa, rzekł:

— Córko, wpadłaś w wielki grzech, a jednak chciałbym przedstawić Panu serce własne równie proste — jak jest twoje.

Wskoczyła lekko na wóz. I pierś podając naprzód, a wznosząc dziecianną swą główkę zawołała:

„Niech żyje król!“

Zrobiła następnie znak Brotteaux, wskazując mu miejsce koło siebie. Brotteaux dopomógł wnijść barnabicie i zajął miejsce między nim a dziewczątkiem. Zaś stojąc już na gilotynie z całym spokojem zaznacza ostatnio czytany wiersz książki ulubionej: „*Sic ubi non erimus*“.

Czy mógł France dać inny obraz tej epokowej chwili? Czy może nas dziwić, iż ukazuje nam ją w zwierciadle własnych przeżyć i przemyślań? Doskonale odczuwamy, iż całość wypływała z założenia, a założenie wynikało jako nieodzowna konieczność negacyjnego umysłu estety. Musimy natomiast przyznać, iż całość przeprowadzona jest b. konsekwentnie, epizody zwarte, narysowane silnie, a pod względem formy i budowy rzecz ta jest bez zarzutu.

A jednak Anatol France wśród młodego pokolenia nie budzi już poprzednich zachwytów. Dni chwały jego minęły. Krytyka młoda zarzuca mu powierzchowną znajomość klasycyzmu, brak podstawy i głębi.

Jeden z krytyków pisze o nim:

„Był on dla naszej literatury tym, kim był

K. Flammarion dla nauki, kim czarujący, drobny mieszczanin z Amiens Juljusz Verne był dla sportowców, zapalających się do podróży odległych i niebezpiecznych.

Zachwyt taki bezgraniczny — musimy przyznać — zmniejsza się, gdy mamy możność sami podróżować, dojszć sami do źródeł, odkryć samy — jacy to byli w istocie profesorowie naszego mistrza szkoły literackiej“.

Oskarżenie to jest zbyt bezwzględne — Anatol France jako znawca języka, wytworny stylist — ma swe miejsce w literaturze francuskiej i porównanie powyższe jest raczej zręcznym koziołkiem, — niż ujmującą istotę rzeczy — krytyką.

Wacława Kiślańska.

PRASA POLSKA.

— „Tygodnik Polski“ zwraca uwagę na wzmagający się prąd nacjonalistyczny, który stronę negatywną patryjotyzmu robi celem narodowej działalności. Bardzo trafnie zaznacza organ secesji narodowo-demokratycznej, że nacjonalizm w założeniu pragnie kłaść piętno narodowe na wszystkie dziedziny życia i twórczości — w praktyce zaś ima się zewnętrznych, formalnych znamion. O przykładzie jaskrawym, do jakiej bezmyślnej zaciekłości może dojść rasowy antysemityzm, „Tyg. Polski“ pisze:

„W artykule, nawołującym do otrząśnięcia się z supremacji żydowskiej, zatytułowanym *Kto kogo utrzymuje*, czytaliśmy między innymi: „Kto panuje dzisiaj wszechwładnie w nauce o dziejach naszych nowoczesnych? Żyd — Szymon Askenazy“, a to, by wskazać, że „całe obszerne dziedziny naszego życia duchowego podległy są dziś żydom“, dalej zaś: „Gdzie chodzi o ciężką i niewdzięczną pracę dobywania bogactw z łona ziemi albo nawet o ich najcięższą obróbkę, tam żydów oczywiście niema. Gdy jednak chodzi o puszczanie w obieg tych bogactw i o zgarnianie stąd zysków — tam są zawsze obecni i zażarcie bronią swego monopolu“.

Złożmy na karb nieudolności redakcyjnej pierwsze wyrażenie, że wybicie się uczonego żyda podciągnięte jest tutaj pod monopolizowanie zysków z danej dziedziny wytwórczości narodowej, choć czytelnik popularnej gazetki gotów pomyśleć, że prof. Askenazy robi majątek na swojej kilkunastogodzinnej nieraz pracy ofiarnej. Przyjmijmy, że to tylko zestawienie, że to tylko analogja pomiędzy opanowaniem dziedzin życia duchowego i ekonomicznego.

Omiłmy wogóle grunt konkretny danego wypadku, bo zbyt wyraźnie chodziło w nim o osobę: profesor Askenazy nie zdążył jeszcze dojść do szczytu otwartej przed nim drogi „panowania“, podczas gdy inni żydzi lub nowochrześcijcy zajęli już bardziej wpływowe praktycznie stanowiska w organizacji naukowej polskiej. Porzućmy na razie i stronę moralną sprawy, a zwróćmy uwagę wyłącznie na praktyczny pod względem narodowym rezultat takich akcji:

Ludzi zasłużonych Ojczyźnie pragnie się usunąć od pracy dla niej, jeżeli są obcego pochodzenia.

Obce pochodzenie jest nie bylejaką wskazówką, że dany pracownik może wnosić niepożądane pierwiastki w dziedzinę twórczości narodowej, i obowiązkiem jest czynników powołanych baczyć, aby nie autoryzowały wpływów szkodliwych.

Nie ulega też wątpliwości, że ci, co odznaczyli prof. Askenazego godnością członka najwyższej naszej instytucji naukowej Akademii Umiejętności, uważali jego dzieła za godne nie tylko podziwu, ale i uznania. Obecni jego cenzorzy nie zagłębiali się w odczytywanie paru tysięcy stron jego dorobku, aby wskazać choć jedno zdanie, niepolskie duchem. Wystarczyły im względy genealogiczne do przeciwstawienia swego sądu (tak!) i spularyzowania go.

Ten przykład działalności patryjotycznej, tak łatwej, więc pociągającej, tak podatnej do użytku dema-

gogicznego, jest jaskrawym dowodem, jak w nacjonalizmie element negatywny nie tylko przoduje, ale zdolny jest przeciwstawić się zadaniom pozytywnym patryjotyzmu, jak jego formalizm zdolny jest szkodzić istotnemu pożytkowi narodowemu, jak zaciemnia i tak u nas słabą świadomość tego, co stanowi istotę narodowości i co dają narodowi moc trwania.

Nie wiemy, jaki świstek pozwolił sobie na powyższy wybryk oburzający; przypuszczać wolno, że albo „Gazeta Poranna“ albo „Polak-Katolik“ uprawiające pogromową naganę na żydów. Że coś podobnego wogóle mogło mieć miejsce, — temu się dziwić trudno, zważywszy na wybujały nastrój antysemitki społeczności polskiej, podsycony lekkomyślnie przez organy Koncentracji, ale że prasa poważna nie napiętnowała surowo bezczelnej arogancji uliczników z obozu p. Dmowskiego — świadczy to zbyt wymownie o zaniku w publicystyce warszawskiej odwagi cywilnej i gonieniu za tanią popularnością.

Smutny i bolesny objaw.

— Dla charakterystyki zapatrywań endecji na obecną sytuację polityczną przytaczamy niewielki ustęp z artykułu „Stanowisko polskie“, zamieszczonego w jednym z ostatnich numerów „Gazety Warszawskiej“. Z powodu oczekiwanej uchwały Koła sejmowego we Lwowie, dziennik ten pisze:

„Opinia polska jest już od pewnego czasu zaniepokojona tem, że poważne koła polityczne w Galicji nie ujawniły dotychczas swego stanowiska, że pozwalają na to, by nastrój społeczeństwa był reprezentowany przez żywioły niepowołane i nieodpowiedzialne, które korzystają z zamętu, by swą wolę ogółowi narzucać.

Opinia polska oczekuje też od kół kierowniczych w Galicji przedewszystkiem wyraźnego określenia swego stosunku do rządu i do państwa i do tych haseł, które rozbrzmiewają dziś tak głośno.

Zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, że rzecz to nie jest łatwa, że stanowisko polaków, licząc się z interesem narodowym polskim przedewszystkiem, musi jednak uwzględniać i to, że istnienie Austrii daje gwarancje swobodnego rozwoju części narodu polskiego.

Nikt nie może wymagać od polityków galicyjskich, by się nie liczyli z realnemi czynnikami życia i realnemi stosunkami politycznemi, można wszakże od nich wymagać w chwili stanowczej szerszego ujęcia sprawy i odwagi w wypowiedzeniu i uzasadnieniu swego stanowiska. Można wymagać tembardziej, że w chwili obecnej następstwa konfliktu zbrojnego szkodę by nam tylko mogły wyrządzić i że stanowisko polaków w państwach, do których należą, musi być szczerze pokojowe.

Zdaniem naszym, politycy w Galicji mogą i powinni wyraźnie oświadczyć, że interesy kraju, który reprezentują, są zgodne z interesami monarchji, o ile polityka wiedeńska stale liczyć się będzie z interesami ludów do monarchji należących.

Jakże daleko „Gazeta Warszawska“ odbiegła od „Przeгляdu Wszeczpolskiego“, a p. Dmowski, jadący na czele „straży pożarnej“ w niczem już nie przypomina dawnego podróżnika do Japonji.

Głosy rosyjskie.

Chomiakow o wojnie.

B. prezes III-ej Dumy w rozmowie ze współpracownikiem „Wiecz. Wremia“, wypowiada swój pogląd w sprawach bałkańskich oraz o stosunku Rosji do tych wypadków:

Powiadają, że odnieśliśmy zwycięstwo. Gdybyśmy postępowali inaczej, Austrija zajęłaby Belgrad, my zaś dzięki wystąpieniom sprytnym obro-

nilismy państwa bałkańskie. Czy tak jest istotnie, czy nie, nie wiemy, ponieważ nie znamy zupełnie planów i zamiarów naszej dyplomacji.

Mówią o naszych tradycjach, o słowianstwie, ale przecie pod tym względem Rosja nigdy nie zgadzała się z rządem. Ministerjum oświadczyło, że obce mu jest słowianofilstwo, Rosja zaś dowodziła czego innego. Nie wiem, co jest lepsze, — czy być słowianofilami z konieczności, czy też otwarcie przyznać się do swych sympatji. Według mnie, jedynie słusznem może być stanowisko żądania w czasie właściwym tego, co jest koniecznem, nie zaś ciągle ustępować i wreszcie nic przyjąć tego, co inni proponują.

Nie ulega wątpliwości, że Austrija zamierza zrobić pewne nowe nabytki, ale w równej mierze jest oczywistem, że pragnie to otrzymać darmo, a nie kosztem wojny europejskiej. Następnie wskazywano, że jakoby Anglja i Francja nie opowiedzą się po naszej stronie, o ile podtrzymamy żądania Serbji. Kwestja zatem polega na tem, czy jesteśmy potrzebni Anglji i Francji, czy — jeżeli nas potrzebują, to tylko jeżeli będziemy silni, a jeżeli rozpoczniemy wojnę, to oczywiście staniemy się słabsi, co oczywiście nie może być pożądanem dla obu państw trójporozumienia. Jeżeli zaś sprawa tak właśnie się przedstawia, to niech postępują tak, abyśmy wojny toczyły nie potrzebowali. Co do Austrii, to wydaje mi się, że pomimo wszystko ustąpi 90 proc. tego, co przedtem żądała. A wówczas słowianie powinni być wdzięczni Austrii, jako swej dobrodziejce, nam zaś powiedzą: a wy moi kochani, potrafiliście jedynie wysunąć status quo.

Oświadczam się oczywiście nie po stronie wojny, jak i wasza gazeta, jak zresztą wszyscy, kto dba o godność Rosji. Niech Bóg naś zachowa od wojny. Ale szliśmy właśnie po tej drodze, która bodaj najprędzej mogła nas doprowadzić do wojny, nie pragnąc zaś poniżenia Rosji i ucisku słowian — bynajmniej nie znaczy bezwarunkowo życzyć sobie wojny. W każdym jednak razie Rosja nie może odpychać nowego potężnego słowiańskiego mocarstwa wielkiego.

Logika historji.

Miesięcznik niemiecki „Nord und Süd“ poświęcił ostatni swój zeszyt wyłącznie Rosji. Artykuły w nim napisane zostały przez wybitnych mężów stanu i polityków rosyjskich, mianowicie — przez Kokowcewa, Jermołowa, hr. Wittego i in. Ten ostatni nadesłał artykuł, zatytułowany: „Logika historji“. Ze względu na osobę autora, który tak wybitną rolę odegrał w najnowszej historji Rosji, artykuł ten podajemy poniżej w przekładzie za pismami rosyjskimi:

„Rosja znajduje się obecnie w stanie przejściowym. Nie mamy ani prawdziwego konstytucjonalizmu, ani absolutyzmu. W naszym życiu politycznym ukazują się zjawiska nienormalne. W chwili, kiedy Rosja z wysokości tronu została obdarzona najlaskawszym manifestem 17 października, ogłaszającym nowe konstytucyjne formy rządu, ani partja postępową, ani też konserwatywną nie były w możności wnikać należycie w nowy stan rzeczy. Partja postępową nie rozumiała momentu psychologicznego i nie zajęła się ona polityką praktyczną w duchu konstytucyjnym, lecz domagała się formy rządu parlamentarnej, której manifest 17 października nie miał na widoku i która w tym czasie nie odpowiadała

rzeczywistym potrzebom kraju. Omyłka, jaką popełniła partja postępowca, polegała na odstąpieniu przez swoje postępowanie, od prawidłowego zrozumienia logiki historii. Nie przewidziała ona, iż w biegu historii przeskoki być nie może. W przyrodzie i historii przeskoki takie nie uchodzą nigdy bezkarnie.

Lecz z drugiej strony i elementy krańcowo-konserwatywne nie rozumiały również owej historycznej logiki wewnętrznej. Krańcowi prawicowcy nie ocenili należycie znaczenia owego ruchu, którego wyrazem był manifest 17 października. Zadawał się nadzieją, iż manifest może być zmieniony, nie brali pod uwagę, iż jest to niewzruszony akt woli monarszej.

I oto były te dwa ścierające się prądy, których złączenie było niemożliwością, a które naturalnym biegiem rzeczy wytworzyły chaos.

W chwili obecnej chaos ten ustępuje miejsca bardziej określonego porządkowi rzeczy. Nastrój jest cokolwiek spokojniejszy, ale przedwczesne byłoby mniemanie, iż równowaga polityczna została osiągnięta. Ścieranie się prądów trwa w dalszym ciągu, a linja wytyczna, odpowiadająca logice historycznej, nie została dotychczas znaleziona. Opierając się jednak na logicznym biegu historii, możemy powiedzieć, iż Rosja znajduje się obecnie na drodze do konserwatywnego konstytucjonalizmu. Do tego czasu jednak żyć ona będzie nerwowem życiem politycznem. Postanowienia Dumy i Rady Państwa nie zawsze stanowią owoc dojrzałej myśli politycznej. Słowem, stan, w jakim się Rosja obecnie znajduje, jest owym stanem przejściowym, przez który przechodzą wszystkie kraje, zanim wstąpią na drogę logiki historycznej.

Co się zaś tyczy stosunku międzynarodowego, jestem głęboko przekonany, że Rosja nie chce wojny i że, przeciwnie, szczerze dąży do pokojowej polityki międzynarodowej. Kraj nasz parę lat temu przeżył ciężkie czasy wojenne i w razie nawet, gdyby wojna ta zakończyła się dla Rosji zwycięstwem, kraj powinienby użyć po niej należytego wyczerpania. Rosja, w chwili, kiedy formy jej państwowości dopiero się tworzą i wzmacniają, wyjątkowo potrzebuje spokoju, tak wewnętrznego, jak i zewnętrznego. Mojem zdaniem, sytuacja obecnie w Europie jest tego rodzaju, iż możemy uważać pokój za zapewniony na wiele lat. W czasach obecnych wojna europejska przybrałaby tak kolosalne rozmiary, iż wszelkie wojny dotychczasowe stałyby się w porównaniu z nią dziecięcą zabawą.

Mając na uwadze te straszne następstwa, jakie wojna taka pociągnęłaby za sobą, żadne z państw europejskich zasadniczo nie może życzyć sobie jej wybuchu. Wojna stanowi zawsze ryzyko, nawet dla tego, kto pewien jest zwycięstwa. Niema kraju, w którym wojna, nawet zwycięska, nie wywarłaby wpływu ujemnego na dobrobyt ekonomiczny. Tem się też tłumaczy pokojowy nastrój Europy. Niema więc powodu do obaw, ażeby w najbliższej przyszłości wybuchnąć miała wielka wojna europejska. Niebezpieczeństwo tego rodzaju grozi nam tylko na Dalekim Wschodzie, jak wogóle w tych krajach, które znajdują się poza europejsko-amerykańską cywilizacją. Widoczne jest, iż wielkie mocarstwa mają zamiar podzielić pomiędzy sobą te z poza europejskich krajów, które dotychczas pozostały wolne. Francja zabrała Tunis i Maroko, Anglja—Egipt, Włochy—Trypolis, Niemcy—Kongo i t. d. Austrja

wreszcie przyłączyła Bośnię i Hercegowinę. Rozwiązanie wielkich zadań społecznych polegać będzie na podziale pozaeuropejskich krajów, dlatego też jedynym powodem do wojny między wielkimi mocarstwami może być konflikt ich wspólnych interesów na Dalekim Wschodzie.

Przyszła wojna będzie walką o zdobycze ekonomiczne. Wszelkie inne kwestje będą stanowiły jedynie pretekst do wojny. Jako gwarancje przyszłego pokoju uważać należy niechęć ogólną do wojny i poczucie odpowiedzialności za mogące wyniknąć następstwa. To właśnie stanowi wewnętrzną logikę historii. Zamiast wojowników widzimy teraz spokojnych przedstawicieli przemysłu. Siła armji i floty mocarstw europejskich zapewnia nam tak bardzo pożądany spokój, a poszanowanie, jakie wzajemnie siły te w sobie wzbudzają, stanowi najtrwalszą rękojmię pokojowej równowagi w Europie.

Kto jest w możności objąć i zrozumieć ten stan rzeczy, ten jasno widzi wewnętrzną logikę historii“

Odezwa Związku Narodowości.

Nadesłano nam z Paryża odezwę Związku Narodowości, którą zamieszczamy poniżej w przekładzie, jako wyraz charakterystyczny szlachetnych niewątpliwie tendencji autorów, stojących jednak zdala od steru polityki czynnej.

O samym Związku Narodowości pisaliśmy dość obszernie w № 26 i 28 „Przeglądu Wileńskiego“.

„Zarząd główny Związku Narodowości zwraca się do następujących swych członków, wchodzących w skład rządu państw Bałkańskich pp.: Danewa, prezydenta Izby bułgarskiej (Sobranja), Pasicza, prezydenta Rady ministrów Serbji, Ty-paldo Bassia, dawnego prezydenta Izby greckiej, wyrażając następujące życzenie i prosząc ich, by poparli takowe wobec swych państw.

Zarząd Związku Narodowości od chwili powstania swego wyrażał zawsze pragnienie, by na półwyspie Bałkańskim zapanowała ostatecznie równowaga, oparta na sprawiedliwości i prawie. Żalując, iż środki pokojowe były niedość silne dla urzeczywistnienia tego ideału, wina państwu skonfederowanemu zwycięstwa, jako zwycięstwa praw, dających możność swobodnego rozporządzania sobą.

Wyraża życzenie natychmiastowego pokoju przez akcję bezpośrednią między mocarstwami, pozostającymi w zatargu, któreby punkta sporne oddały do ostatecznego uregulowania sądowi polubownemu.

Wyraża życzenie swe, by państwa, stojące u steru rządów bałkańskich, zdolne od tej chwili organizować same półwysep, bez wszelkiej interwencji obcej—wprowadziły na całym tem terytorjum porządek, który nietylko położyłby kres gwałtom stuletnim nad ludźmi i mieniem, lecz po zatem zagwarantowałby najdalej idącą niezależność różnym narodowościom, nie czyniąc różnicy między zwycięzcami i zwyciężonymi, bez względu na język, religję i pochodzenie.

Wyraża nadzieję, że autonomia wszystkich narodowości będzie podstawą nowego rządu poli-

tycznego, że państwa Bałkańskie zdołają zorganizować się doskonale, dając światu przykład wyśmienity państwa prawdziwie społecznego, opartego na poszanowaniu wolności.

Niektóre z tych narodowości: albańczycy, turcy, wołosi — rozproszone, nie posiadając środków nieodzownych, by stworzyć własny rząd panujący, ukonstytuowany na zasadach narodowych — niemniej nie powinny być pominięte, powinny otrzymać organizację taką, by żadna grupa etniczna nie czuła się uciskaną.

By te trudności rozwiązać, państwa Bałkańskie winny natychmiast po wprowadzeniu nowego porządku dać wszystkim tym narodowościom środki dla zmanifestowania swobodnego ich woli przez powszechną uchwałę (plebiscyt).

Byłby to przykład wielkiej wagi dla idei pokoju w Europie i wolności narodów.

Prezydent: *Painlevé*, czł. Instytutu, deput. Paryża.

Wice prezydenci: *K. Seignobos*, profesor Sorbony, *Emil Arnaud*, wice-prez. biura międzynarodowego pokoju.

Sekretarz gł. *J. Pélissier*.

Administrator: *J. Gabrys*.

NA WIDNOKRĘGU.

W Bazylei przy udziale 500 delegatów odbył się nadzwyczajny międzynarodowy kongres socjalistyczny. Na porządku dziennym znajdował się jeden tylko punkt: ocena sytuacji międzynarodowej i przedsięwzięcie wspólnej akcji przeciwko wojnie.

Najwięcej przybyło delegatów z Francji — 120 i z Niemiec — 75: polaków było 28. Obecni byli wodzowie socjalistyczni wszystkich krajów: Bebel, Jaurés, Adler, Bernstein, Vailant, de-Pressensé, Mac-Donald, Keir-Hardi, Turatti, Pernerstorfer, bułgar Zakazow i t. d. Tylko serbscy socjaliści nie przybyli, tłumacząc się udziałem w wojnie.

W sali, gdzie odbywał się zjazd, wywieszono czerwone sztandary z napisami przeciwko wojnie. Po wysłuchaniu hymnu międzynarodowego członek rządu kantonowego w Bazylei, socjalista Wulf-schleger powitał kongres w imieniu robotników szwajcarskich.

Następnie odczytano adres, wstosowany do kongresu przez prezydenta kantonu Bazylejskiego, w którym jest mowa, że rząd kantonalny wita przedstawicieli międzynarodowego proletariatu i z całego serca przyłącza się do dążeń, zmierzających ku powstrzymaniu wojny lub przynajmniej przeszkodzeniu jej w rozszerzeniu się na całą Europę.

Deputowany belgijski Vanderwilde, przewodniczący międzynarodowego biura socjalistycznego, dziękował za to odważne i szlachetne wystąpienie władz kantonalnych. „My, oświadczył, żądamy pokoju na Bałkanach i wolności republikańskiej dla bałkańskich państw. Austria nie powinna pozbawiać narodów bałkańskich płodów walki. Rosja nie powinna zagrażać pokojowi. Wybiła

godzina dla franko-niemieckiej i anglo-niemieckiej zgody.

Po otwarciu kongresu nastąpił uroczysty pochód przez ulice miasta, w którym wzięły udział dziesiątki tysięcy osób.

Pochód skierował się ku największej w Bazylei katedrze protestanckiej, ustąpionej przez duchowieństwo na urządzenie wielkiego mitingu socjalistycznego. Pomieściła ona 5 tys. ludzi, reszta pozostała na placu przed kościołem, gdzie ustawiono 4 trybuny dla mówców.

Przy dźwiękach organów i biciu dzwonów otworzono miting. Obecni byli: rada kościelna, synod protestancki i przedstawiciele kantonu i municypalności.

Pierwszy przemawiał prezydent rady kantonowej prof. Blocher, dziękując władzom kościelnym za użyczenie najgodniejszego gmachu w mieście na manifestację w imię pokoju.

Następnie deputowany austriacki Wiktor Adler podkreślił w mowie, że socjaliści, którzy uchodzą za wrogów porządku i spokoju, występują w świątyni chrześcijańskiej jako obrońcy pokoju, obrońcy kobiet i dzieci, życia i mienia.

Jaurés powiedział, że obok socjalistów staną w obronie miliony chrześcijan.

Przedstawiciel Bazylei, przypominając pieśń Schillera o dzwonach, wyrzekł, że głosy ich wzywają żyjących do obrony zagrożonego życia. Zakończyły miting śpiewy chóru kościelnego.

W drugim dniu obrad przyszła na porządek dzienny kwestja stanowiska socjalistycznej międzynarodówki wobec wojny.

Przewodniczący kongresu. Greulich z Zurychu, prosił, aby rezolucję przeciwwojenną, wypracowaną przez międzynarodowe biuro socjalistyczne, a postanawiającą, iż proletarijat całego świata urządzi strejk jednolity, jako protest przeciw wojnie, przyjąć bez zmian i bez dyskusji, co też się stało.

Oczywiście demonstracja socjalistyczna nie wpłynęła konkretnie na przebieg obecnego międzynarodowego kryzysu politycznego.

O tem, że sytuacja staje się bardzo poważna i niebezpieczeństwo wojny coraz bliższe, świadczą deklaracje, jakie ostatnio usłyszała Europa z ust paru odpowiedzialnych kierowników polityki zagranicznej. Żadna z tych deklaracji nie zawiera wprawdzie tendencji wojennej, ale każda w pewnej mierze zawiera odpowiedź na pytanie, jak się w razie konfliktu zbrojnego zamierza zachować dane państwo.

Po znamiennej mowie Bethmanna-Hollwega, zawierającej wyraźną zapowiedź co do udziału Niemiec w ewentualnej wojnie, z tem większym zainteresowaniem oczekiwano, co powie jego kolega francuski.

Poincaré wygłosił mowę, ale rzeczy najważniejsze pominął milczeniem. Wspomniał wprawdzie o przymierzu i przyjaźni, ale wzmiankę tę wplótł w zdanie, gdzie była mowa o usiłowaniach pokojowych. Na ogół ton ostatniego przemówienia premiera francuskiego był wyraźnie niższy.

Sir Edward Grey oświadczył, że Wielka Brytania w razie wojny pozostanie neutralną. Oświadczenie to ma wielką doniosłość, gdyż ostatecznie rozprasza legiendę, jakoby w obecnym kryzysie międzynarodowym trójporozumienie prowadziło wspólną politykę i okazywało gotowość poparcia jej w razie konieczności wspólną akcją zbrojną.

Stanowisko samodzielne Anglii nabiera tem większego znaczenia wobec faktu odnowienia trój-

przymierza, przesądzającego o solidarności Austrii, Niemiec i Włoch. Termin bowiem zobowiązań sprzymierzonych uplynie dopiero w połowie roku 1914 i pozostawało dość czasu na odnowienie umowy. Gdyby który z uczestników trójprzymierza chciał się z niego wycofać, lub też przewidywał, iż wypadnie mu zająć odrębne stanowisko w sprawach wschodnich, to mógł uchylić się od podpisania traktatu w obecnym momencie ostrego napięcia i odłożyć swą decyzję aż do wyjaśnienia sytuacji. Tymczasem stało się inaczej. Państwa trójprzymierza ogłaszają odnowienie swego związku teraz, jakgdyby chciały głośno zaświadczyć, że właśnie obecny kryzys wytwarza pomiędzy nimi spójnię naturalną.

Na terenie wojny — cisza chwilowa. Strony walczące zawarły rozejm. Bitwy staczają dyplomaci. Zamiast huk armat rozlega się skrzypienie piór i szmer układnych słówek. Bliska przyszłość wykaże, czy pertraktacje te nie wywołają niebawem ponownej kanonady.

KRONIKA.

— Stanisław Krzemiński.

Ouszedł jeden z ostatnich, którzy nie tylko pamiętali tragiczne wypadki z epoki 1863, ale czynny w nich brali udział, a zarazem jeden z ostatnich z pomiędzy licznych zastępów tych, którzy potem, pod hasłem postępu i nowych prądów, zreorganizować chcieli naród pod względem duchowym i społecznym, zgodnie z warunkami, w jakich się znalazł po owym wysiłku.

Był kolejno współpracownikiem kilku pism warszawskich, najdłużej ówczesnej „Gazety Warszawskiej”, korespondentem z „Zaboru rosyjskiego” do polskich pism zakordonowych, wydał kilka cennych prac społecznych, z których najcenniejsze „25 lat Rosji w Polsce” oraz należał do kilku wydawnictw naukowych i literackich.

Nie ustawszy ani na chwilę w czynnościach, przypominał się jeszcze przed kilku laty pracą o Komisji Edukacyjnej, przyczynkami do życia i działalności Hugona Kołłątaja i w innych. W dążeniach swych i pracach stał niewzruszenie na stanowisku idealisty, wierząc w zbawienie narodu tylko pod hasłem czystości myśli i obyczajów, a zarazem miłości braterskiej. Ideały piękne, ale nie bardzo ziścić się dające. To też, choć czynny do ostatka, choć nie dawno jeszcze snujący się po ulicach, podobny był raczej do szarego ducha z przeszłości, do istoty, nienależącej do dzisiejszych czasów, a mającej z nimi bardzo mało wspólności, niż do społecznego człowieka.

Zmarł w Warszawie 16 (29) listopada w 73 roku życia.

— Zgon arcybiskupa Popiela.

W sobotę wieczorem zmarł arcybiskup warszawski. ksiądz Wincenty Teofil Chościak Popiel.

Urodzony d. 2 lipca 1825 r. we wsi Czaple Wielkie, pow. miechowski, uczęszczał pierwotnie na kursa prawne w Warszawie; w 1856 r. wstąpił do seminarjum w Kielcach, d. 5 sierpnia 1849 r. przyjął święcenia kapłańskie.

Następnie w akademii rzymskiej uzyskał stopień doktora teologii. Był kolejno kanonikiem krakowskim, profesorem i wice-regensem sem. kieleckiego. W 1863 r. objął rządy diecezji płockiej. Od 1869 do 1874 r. przebywał w Nowogrodzie, skąd wrócił, jako biskup kujawsko-kaliski do Włocławka.

— Surowe wyroki.

Przed rokiem p. Irena Kosmowska, córka znanego w Warszawie lekarza, chcąc umożliwić wyjazd na kurację Kajetanowi Sawczukowi, włościaninowi-poezie, samoukowi, zebrała jego poezje i wydała je w oddzielnym tomie. W niektórych z tych utworów dopatrzono się podburzania do buntu i wdrożono śledztwo. Poety Sawczuka nie odnaleziono, natomiast p. Kosmowską warszawska Izba sądowa skazała na rok twierdzy.

Ks. Jerzy Sienkiewicz, jako b. redaktor odpowiedzialny tygodnika wileńskiego „Przyjaciel Ludu”, za artykuł p. t. „Jak uczył dzieci ksiądz Bosko”, skazany został przez Izbę sądową pskowską na 4 lata twierdzy.

— Zawieszenie „Roli”.

P. Szezepan Jeleński zawiadomił w ostatnim numerze „Roli”, że z końcem roku pismo swe na czas dłuższy zawiesza. P. Jeleński stwierdza, że może to obecnie uczynić, gdyż praca prowadzona przez „Rolę” od chwili jej założenia wydaje obecnie rezultaty. Powstał cały szereg pism, które nie tylko dorównują „Roli” pod względem antysemityzmu, lecz nawet znacznie ją w tym kierunku prześcignęły. „Gazeta Poranna”, „Łoś-Katolik”, „Naród”, „Dzień”, „Gazeta Warszawska”, że wymienimy tylko najpoczytniejsze dzienniki propagują dziś ideję „Roli” z o wiele większym skutkiem.

Cały skład redakcji „Roli” przechodzi do nowego tygodnika, którego wydawnictwo podejmują z początkiem roku przyszłego ks. M. Godlewski i A. L. Szymański. Tygodnik ten będzie nosił nazwę „Nasz Sztandar”.

— Zamiana

Z szeregu pism istniejących — od Nowego Roku ubędzie miesięcznik „Kultura Polska”, redagowany przez Aleksandra Świętochowskiego. Natomiast pod redakcją tegoż wychodzić pocznie miesięcznik p. t. „Humanista Polski”.

— Gazeta Białostocka.

W Białymstoku zaczęła wychodzić tygodniowa „Gazeta Białostocka” pod redakcją p. Konstantego Koszińskiego. Jest to pierwsza próba założenia polskiego pisma na terenie naszego kraju poza Wilnem.

— Czwarta Duma.

Nowa Duma zajęta jest wciąż ukonstytuowaniem prezylium. Na prezesa został obrany p. Rodzianko. Natomiast wybór pozostałych członków natrafia na wielkie trudności, skutkiem niewyraźnego i chwiejnego stanowiska pałaziernikowców. Na tle tem toczą się wciąż układy pomiędzy poszczególnymi frakcjami. Od przebiegu ich będzie zależało utworzenie stałej większości dumskiej.

— W zawieszeniu.

O posła Jagiellę toczyła się we frakcji socjalno-demokratycznej Dumy ożywiona dyskusja.

„Bolszewicy” kategorycznie odmówili przyjęcia posła warszawskiego do frakcji, ponieważ wybrała go burżuazja, choć posiada przekonania P. P. S.

„Mieniszewicy” zaś gorąco popierali przyjęcie posła Jagielly do frakcji.

Dyskusja przeciągnęła się długo w noc, ale bez żadnego wyniku.

Sprawę postanowiono rozstrzygnąć po przyjeździe posła amurskiego, Ryslewa, którego głos może dać przewagę przeciwnikom, lub zwolennikom posła Jagielly.

Tymczasowo zaproponowano przyjęcie posła Jagielly z głosem doradcym.

— Deklaracja rządu.

Deklaracja, którą zamierza wygłosić Kokowcow w Dumie, nastąpi po ukończeniu wyborów prezydium. Stanowić ona będzie odpowiedź rządu na mowę prezesa Dumy w tej części, gdzie Rodzianko poruszył kwestję polityki wewnętrznej. poczem ma być dane oświetlenie roli Rosji w sprawach bałkańskich.

W deklaracji swej ma Kokowcow podkreślić, że polityka rządu w stosunku do Finlandji pozostanie nadal taka sama, przyczem ma być wyszczególniony szereg projektowanych zarządzeń w tej dziedzinie. Poza tem ma być zapowiedziane nowe prawo prasowe, ustawa o reformie policji oraz nowe przepisy o zebraniach i związkach.

— Jezioro wódki.

„Birż. Wied.” podają następujące obliczenie wódki, którą wypito w Rosji w przeciągu 6 miesięcy r. 1912.

Wypito jej mianowicie 44 miliony wiader. To stanowi 550 milionów litrów, czyli 550,000 metrów sześciennych.

Gdyby tę wódkę wylać do jednego basenu, to taki basen równałby się jezioru mniej więcej takich rozmiarów: 300 sążni długości, 30 sążni szerokości i 40 sążni głębokości.

Wystawa przemysłu ludowego.

Komitet przemysłu domowego przy Wileńskim Towarzystwie Rolniczym postanowił na swym posiedzeniu w dniu 22 października t. r. wziąć udział w wystawie przemysłu ludowego w Petersburgu, organizowanej przez Departament Rolnictwa i wyznaczonej na miesiąc marzec 1913 r.

Celem naszego udziału w wystawie petersburskiej jest dać obraz spólczonego stanu przemysłu domowego w gubernji wileńskiej.

Wobec powyższej uchwały Zarząd Komitetu ma zaszczyt zwrócić się do wszystkich osób zamieszkujących nasz kraj o łaskawe poparcie usiłowań Komitetu przez nadesłanie wszelkich wyrobów przemysłu ludowego.

Okazy na wystawę winny być nadesłane do Wileńskiego Towarz. Rolniczego (Zawalna 9),—nie później jak 15 stycznia 1913 roku.

Zwrot okazów właścicielom nastąpi najpóźniej w sierpniu 1913 roku. Komitet zastrzega sobie prawo, o ile to będzie możliwem, wystawienia okazów w Wilnie i Kownie.

Na wystawie petersburskiej wszystkie okazy przesłane przez nasz komitet, zostaną umieszczone w osobnym oddziale gub. wileńskiej.

Kosztów żadnych wystawcy nie ponoszą, albowiem miejsce na wystawie otrzymujemy darmo, a koszta przesyłki Komitet pokryje.

Nagrody będą wydawane w postaci: dyplomów honorowych, złotych, srebrnych, bronzowych medali, listów pochwalnych, oraz nagród pieniężnych.

Na wystawę Petersburską przyjmuje się wszystko, co wydała twórczość ludowa w gub. wileńskiej, z tem jednak zastrzeżeniem, *by to nosiło cechy przemysłu domowego*, a nie fabrycznego, mianowicie:

I. Wyroby przemysłu domowego:

Dział 1. Wyroby z drzewa: stolarstwo, meble, tokarstwo, rzeźba, bednarstwo i t. d.

Dział 2. Koszykarstwo: kosze, meble, wyroby z beresty (kory brzoźowej), rohoży, słomy, lipy i t. d.

Dział 3. Wyroby z metali: ślusarskie, kowalskie, lanego żelaza, drutu, ołowiu, miedzi.

Dział 4. Narzędzia rolnicze wyrobu domowego: kosy, sierpy, pługi, brony, wialnie, sochy, młocarnie.

Dział 5. Powozy i części ich składowe: oboady, koła, kałanazki, sanie, duhy (okute i nieokute).

Dział 6. Wyroby z lnu i konopi, papieru i jedwabiu: sieci, liny i t. d.

Dział 7. Tkactwo, koronkarstwo, paciorkowe roboty i t. d.

Dział 8. Wyroby ze skóry i szersci: obuwie, wyroby rymarskie, kozuchy i t. d.

Dział 9. Wyroby ceramiczne i garncarskie: garnki, kafle, cegła, wyroby z gipsu, figurki świętych, baranki i t. d.

Dział 11. Instrumenty muzyczne: fujarki, dudy, skrzypce, cymbały i t. d.

Dział 12. Produkty palenia: węgiel, smoła, dzieheć, sadza, terpentyna, spirytus drzewny i t. d.

II. Narzędzia i maszyny używane w przemyśle domowym:

Dział 13. Instrumenty, warsztaty tkackie, żarna, młoty, heble, skoble, i różne ulepszenia w technice przemysłu domowego, modele, rysunki i t. p.

III. Towarzystwa współdziałające rozwojowi przemysłu domowego:

Dział 14. Szkoły, programy, plany, wyroby uczni i t. p.

Dział 15. Podręczniki i dzieła traktujące o przemyśle domowym, we wszystkich językach krajowych.

Dział 16. Statystyczne dane grafiki, monografji i t. d.

IV. Obwarzankarstwo i produkta spożywcze:

obwarzanki, pierniki.

Poszukujemy więc na wystawę i przyjmujemy wszystko co związane z przemysłem domowym, a przez to chcemy poznać, co posiadamy w kraju.

Ufni jesteśmy, że społeczeństwo nasze, takż i instytucje miejscowe nie odmówią swej cennej pomocy Komitetowi i wzbogacą dział gub. wileńskiej nadesłaniem swych zbiorów.

Oddzielne kolekcje mogą być grupowane podług życzenia właścicieli.

Każdy okaz przeznaczony na wystawę winien być zaopatrzony w dwie kartki*), które należy dobrze przymocować do eksponatu.

Na wystawie zbiory będą zaasekurowane i pilnować je będzie specjalna osoba wyznaczona przez Komitet.

Wszelkich informacji odnośnie wystawy przemysłu domowego w Petersburgu można zasięgnąć w Tow. Rolniczym (Zawalna 9) codziennie (oprócz świąt) od 11 rano do 3 po południu.

**Komitet przemysłu domowego
przy Wileńskim Tow. Rolniczym.**

*) Odnośne kartki w ilości żądanej będą wysyłane bezpłatnie po otrzymaniu zgłoszeń udziału w wystawie.

Odpowiedzi Redakcji.

Esde. Skorzystamy.

Niecierpliwemu. Usprawiedliwiamy się na innem miejscu.

Treść numeru.

Od Redakcji.

Nad Wartą. — J. S.

Myśli i wrażenia z podróży. — J. Kuczyńskiego

Syndykalizm francuski. — R. Dołęgi.

Z krajowej sztuki ludowej. — M. Ręmera.

Z księgi ciszy. — J. St. Wierzbickiego.

Nowocześni aktorzy. — Ed. Weisberg.

Teatr zimowy. — Z. Kleszczyńskiego.

Muzyka. — H. Łopuskiej.

Spowiedź poetki — J. Lorentowicza.

Przeгляд piśmienniczy. — E. Czekalskiego i

St. Posnera.

List do Redakcji.

„Bogowie pragną“. — W. Kiślańskiej.

Prasa polska.

Głosy rosyjskie.

Odezwa Związku Narodowości.

Na Widnokręgu. Kronika Odpowiedzi Redakcji.

Odcinek: „Zastygła fala“. — J. Augustynowicza.

NAJTAŃSZY MIESIĘCZNIK
„ECHO LITERACKO-ARTYSTYCZNE”

wychodzi w Warszawie przy współpracownictwie **najwybitniejszych** sił literackich.
 Od N. Roku rozpoczyna druk powieści **J. Augustynowicza** p. t. „WIOSNA”, obrazującej życie młodzieży średnich szkół polskich na prowincji.
 Komitet redakcyjny stanowią: **K. Łozińska, A. Sikorski, C. Walewska i E. Wiełowiejska**.
 Dział poezji prowadzi **S. Szadurska**. —: Redakcja—Chmielna 14 m. 14.
 Prenumerata roczna: w Warszawie — 6 rb., na prowincji — 7 rb., zagranicą — 8 rb.
 Ogłoszenia przyjmują się.

BIURO PARCELACYJNE i LEŚNE

SPECJALISTY - LEŚNIKA

Józefa Łastowskiego

(byłego p. o. Członka Banku Włościańskiego)
 Wilno, просп. Ś-to Jerski, d. № 43 m. 4.

Parcelacja, likwidacja
 majątków ziemskich z udziałem Banków w Ziemskich i Włościańskiego lub bez tegoż, parcelacja planów miejskich.

Urządzenie gospod. leśnych
 oraz innych robót w zakres leśnictwa wchodzących.
 Informacja od godziny 12 do 1 i od 5 do 6 wieczór.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

KSIAŻKI SAVITRI

BRUNHILDA (poemat dramatyczny)
 PANI SŁONECZNA (dramat).
 POEZJE. Serja I.
 PIEŚNI WALKI (wyczerpana).
 DROGI CIERNIOWE. Poezje. Serja II.

OPUŚCIŁO PRASĘ DZIEŁO:

**„Kowieńskie Wykłady Rolnicze
 z lat 1910, 1911 i 1912“.**

Tom I (tom drugi wyjdzie za parę miesięcy).

W skład tego dzieła weszły prace:

Prof. St. Biedrzyckiego: Zasady uprawy mechanicznej gleby.
 Prof. D-ra St. Moszczeńskiego: O zmianowaniu.
 Prof. D-ra A. Sempołowskiego: Pielęgnowanie łąk.
 Rady A. Wieniawskiego: Kilka uwag o organizacji gospodarstw.
 P. J. Miłobędzkiego: Nowoczesne podstawy hodowli lasu.

Stronic 224+VIII dużej 8-ki. Cena rb. 1 kop. 50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz w Towarzystwie Rolniczem Kowieńskim: **Kowno, Sadowa 29.**

NOWOŚĆ!

Artystyczne Wileńskie pocztówki świąteczne
 w 4-ch odmianach

Wydawnictwo firmy

„Borkowski i Żukowski”

WILNO Ś-to Jerska 5. tel. 14-06,
 „ Ś-to Jańska 19, „ 5-88.

W cenie po 10 kop. za sztukę.

Wielki wybór pocztówek wydawnictw
 krakowskich.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN”

tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzeniem

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ
 A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.

POSPIECH i DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Ludwisarska № 8.
 Obuwie gotowe i na obstalunek.

KSIEGARNIA

KULTURA Wilno,
 Ś-to Jerski 7.

PRENUMERATA PISM.
 Wszelkie nowości.